

TERESA JADWIGA
POWIEŚCI HISTORYCZNE

I

PRZED ŚWITEM

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

Z 6-ma ilustracyami M. Kotarbińskiego

PETERSBURG

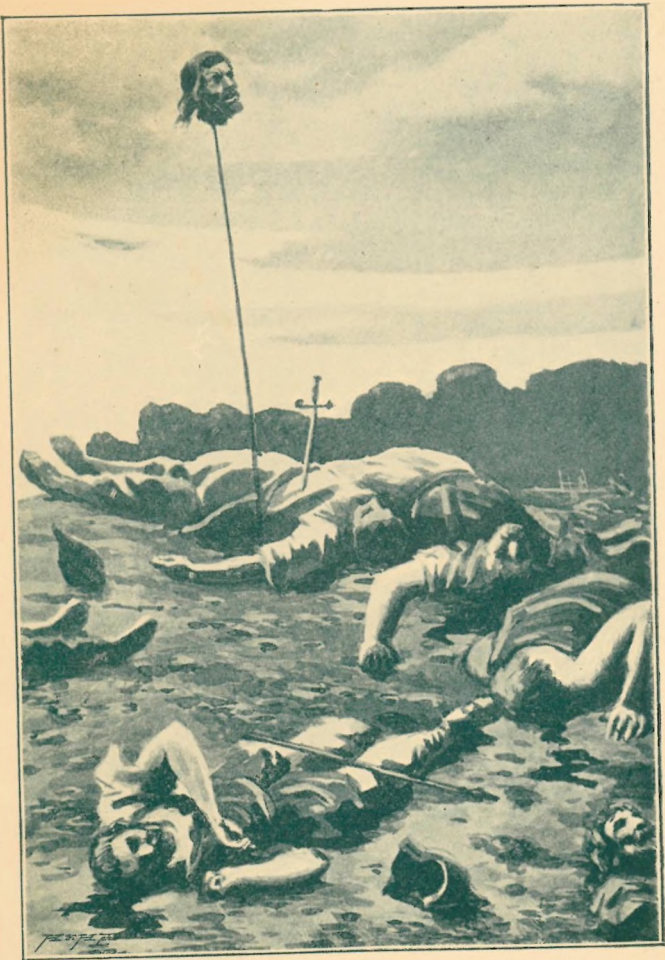
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDSZYŃSKIEGO

1898

N^o 126

113

PRZED SWITEM



Po bitwie.

A 55

[Papier] TERESA JADWIGA
POWIEŚCI HISTORYCZNE

I

PRZED ŚWITEM

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

Z 6ma ilustracyami M. Kotarbińskiego



PETERSBURG

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO

1898



141730



I.

W dawnych bardzo czasach, bo jeszcze w wieku X-ym na zachodzie, gdzie dziś Niemców siedziby tylko spotkać można, mieszkało mnóstwo plemion słowiańskich, których śladów trudno już dopatrzeć; pełni nienawiści do tych plemion cesarze niemieccy wytępilli je powoli, a na zdobytej ziemi swoich osadzili; lecz zanim dzieła zagłady dokonali, niejedna straszna tragedia odegrała się nad Łabą, Hawelą, Wartą i t. d.

Dzień świtać poczynął, słońce obszyło złotymi rąbkami mleczne obłoki, szerokie płaty ziemi rozpostarte nad Łabą wyłoniły się z pod białej mgły, w którą noc spowiła ziemię, jak troskliwa matka dziecko w pieluchy, ukazały się zielone łąki pełne kwiatów rozlicznych, wśród nich gdzieniegdzie uprawne pola, na których srebrzyło się żyto, lub gryka czerwienista. Za nimi wyrosły ciemne bory i jaśniejsze od nich lasy, woń traw, zwilżonych rosą, zapach żywicy i kwiatów polnych rozlał się

w powietrzu; zadrgały kolorami tęczy strumienie i stawy; słońce, błękitny niebios, zielone krzewy odbiły w nich różne swoje barwy, przejrzały się modre niezapominajki, białe lilie wodne i żółte lotosy... Pierzchły cienie nocy, cuda natury zasłaniające, lecz jeszcze cicho na ziemi... Powoli jednakże poczęły się odzywać różne głosy: najpierw na łąkach zbudziło się życie: śpiące w trawach skowronki rozpostarły skrzydła i pod obłoki się wzbiły, potem roje much świecących i owadów różnorodnych poczęło się unosić nad kwiatami, które rozchyliły gościnnie dla nich swoje kielichy; setki motyli, strojnych w barwy piękne puściło się z nimi w zawody i one śpieszą do kwiatów po słodycz...

Wre życie nad łąkami, wre w stawach wśród nich świecących niby wielkie szmaragdy, w strumieniach je przerzynających, w ich wodach czystych pluskają rybki wesoło, a u brzegów skrzeczą głośno żaby; na moczarach graniczących z łąkami klekocą bociany, które zbiegły tutaj ze swych gniazd po pożywienie dla dziatwy. Lasy i bory, okalające pełne życia płaszczyzny, śpią jeszcze; wprawdzie stare, brodate dęby coś tam szepczą z młodszą drzew druzyną, zieloną pleśnią pokryte strumienie, ciekące wśród rosnących nad nimi paproci, zdają się im odpowiadać, lecz one przez całą noc gadają; rozmowa ich nie budzi już mieszkańców lasów i borów, póki mrok panuje śpią spokojnie... Lecz słońce dostało się wreszcie i tutaj:

promienie jego ogrzały najprzód szczyty sosen, które nad inne drzewa głowy swe wysunęły, a potem do głębi się dostało... Zbudzone słowiki hymn poranny zanuciły, zawtórowały im inne: cała orkiestra skrzydlatych śpiewaków ozwała się: wilgi, kosy, wróble, szczygły, prześcignąć się chcą w śpiewie, a każdy z artystów inny ma głos, chór jednak zgodny tworzą... Dziecioty, odgrywają rolę kapelmistrzów w tym chórze: długimi dziobami tłukąc o pnie, takt wybijają... Ten koncert poranny pobudził inne zwierzęta: król ptaków, siwy orzeł, rozłożył skrzydła i wzbił się pod same obłoki, by objąć bystrem spojrzeniem państwo swoje; w żwawych podskokach wyrwały się ze swych gniazd rude wiewiórki i tańczyć poczęły na gałęziach leśnych, a gdy się zmęczyły, siadły na mchu i posilać się poczęły zerwanymi podczas tańców owocami. Ptactwo im przyśpiewuje, one kręcą główkami, zdają się mówić: „pięknie, pięknie“ trzymają zgrabnie w przednich łapkach słodki owoc, ostrymi zębami rozgryzają twardą łupinę, która go kryje i one pracować muszą... Z pomiędzy pni drzew łos wysunął ustrojona w piękne rogi głowę i rozejrzał się dookoła, lecz snać nie ciekawego nie dojrzał, bo pociągnął chrapami, coś mruknął i zawrócił poważnie do swego legowiska. Wkrótce po nim wyjrzała główka pierzchliwej sarenki, tej podobały się łąki, ustrojone w kwiaty, lecz boi się ludzi, a ludzie po nich często chodzą; popatrzała czarnemi, pełnemi

smutku oczyma i schowała główkę; odważniejszy od niej zając pomknął ku polom, lecz od wsi, po za nimi leżącej doleciał go gwar, więc przysiadł na miedzy i uszy skulił, a serce bije mu strachem. Powolny niedźwiedź zbudził się także i powędrował szukać ukrytych w pniach drzew uli; ciężkie jego stąpanie rozległo się posepnie w lesie, trzeszczą suche gałęzie pod jego stopami, tula się ku ziemi lekkie paprocie, pająki, które pracując pilnie od świtu, srebrną koronką, zasianą brylantami, krzewy ustroiły, patrzą z niemem oburzeniem, jak ten niezdarnik obojętnie rozdziera ich delikatną robotę. Złękły się ciężkiego stąpania niedźwiedzia kozy i całe ich stado wybiegło z lasu; wypadłszy na łąki stanęły, zapach trawy je zatrzymał, wyśmiewane będą miały śniadanie, lecz czujne ich ucho dosłyszało, lecący od wsi hałas, podniosły głowy, słuchają, naraz zerwały się wszystkie razem i pędzić ku lasom z powrotem poczęły, ziemia głucho stęknęła, jak gdyby zabołały ją uderzenia ich kopyt, lecz wnet ucichła, stado ukryło się za drzewami i znowu na łąkach słyszeć tylko śpiew skowronków, brzęk much, pszczoł brzęczenie i świergot koników polnych.

Lecz cóż to za głosy zabrzmiały naraz, zadrżało od nich powietrze, ktoś chce iść w zawody ze śpiewakami skrzydlatymi, echo niesie nutę pieśni wesolej, drgającej pełnią życia; leci ona od drożyny wijącej się brzegiem łąk i pól, na końcu której

w dali teraz przy jasnym dniu widać niewyraźnie coś jakby domostwa ludzkie, jakby gniazda bobrów. Jeśli to chaty, to nędzne bardzo, z gliny ulepione ich ściany, w ziemi zapadłe, nie wyżej nad łokieć nad nią wyrosłe, słomiane dachy je kryją, niewielkie otwory w ścianach stanowią ich okna, drzwi niskie, wąskie, jednak świadczą one, że człowiek rozpostarł już tutaj panowanie; zasiane pola mówią też o tem. Nie wiele ich wprawdzie, ale znać pracowitą rękę rolnika na tych srebrnych skibach, znać cierpliwego bartnika trudy na ulach, które długim szeregiem stoją wśród gryki.

Pieśń brzmi coraz wyraźniej, lecz słów jeszcze rozróżnić nie można; po chwili na ścieżynie ciągnącej od wsi, którą dla odróżnienia od innych „Pszczolanką“ nazwiemy, bo gdzież nam szukać w pomroce dziejów jej nazwy, ukazała się gromadka chłopców; wszyscy z gołemi głowami, w białych koszulach błękitnymi pasami przewiązani, boso; za pasem mają topory, idą gromadnie i chórem śpiewają:

Ku gaikowi, ku zielonemu
Ku lasowi naszemu ciemnemu
Idzie ochocza drużyna
Padnie pod ciosem choina
Oj Kupało, Kupało! to na twoją cześć
Słoneczko pięknie świeć nam, świeć.

Śpiew brzmi głośno, umilkły skowronki; motyle i muchy uciekły przed idącymi, oni minęli żwawo łąki i w las się skierowali, tutaj ucichli, poczęli

teraz szukać wzrokiem zdrowych drzew, bo suchych, chorych ścinać im nie wolno. Dziś święto Kupały, na cześć słońca zbudować mają stosy, które noc całą płonąć będą; słońce królem ziemi, ono wlewa w nią życie, słońce życiem wszystkiego stworzenia, nie godzi się dla niego żałować młodych drzew... Wnet łoskot siekiery rozległ się po lesie, sarny, łosie, kozy, spłoszone hałasem, nawet ptastwo wszystko w głąb pomknęło, bo wszystko drży przed człowiekiem. Wałą się smukłe sosny na ziemię, chłopcy ciągną je na polankę rozległą, którą jeszcze dnia poprzedniego upatrzyli; śmiechy, żarty towarzyszą pracy, brzmia co chwila radosne okrzyki.

— Łado! Łado! Kolada! leci ku obłokom, gdy stos stanie gotowy, a coraz ich więcej przybywa... Jeden tylko wśród wesołej gromadki jest smutny: gdy inni żarty stroją, on milezy, błękitne jego oczy pełne są zadumy... Pracuje ochoczo, dźwiga razem z drugimi całe kłody drzewa na plecach, stosy ustawia, lecz czyni to wszystko tak jakoś inaczej... Przywykli już do jego powagi towarzysze; wiedzą, że Lechon do nich niczem niepodobny, ni obyczajami, ni mową, ni upodobaniami; nie dziwią się, że się nie śmieje, nie boryka z nimi... Oni gotują się do zabawy on do uroczystości, tak w każde święto bywa; oni mają na myśli pląsy z dziewczętami, jakie po zachodzie słońca ich czekają, on pamięta, że słońce to Bóg, którego czei tysiące Słowian, to światło i dobro jego ziemi, która go od

kolebki żywi swym chlebem. Czują szacunek dla niego, rozumieją, że miłszy musi być bogom od wielu... lecz dziś nie tylko powagę widzą na jego czole: w oczach Lechona obok tęsknoty smutek czytają i jakby niepokój, chwilami topór w jego dłoni zamiast spaść na pień drzewa, zawisa w powietrzu, on zwraca spojrzenie w stronę zachodu i patrzy czegoś ponuro; czy go niecierpliwi, że słońce ani myśli jeszcze zachodzić... Już południe dobiega, ciesz się, niebawem i wieczór nadejdzie: przy pracy dzień szybko płynie.

— Co tobie Lechonie? — odezwał się wreszcie jeden — cichy jesteś jak noc, pochmurny, jak niebo przed burzą.

Lechon westchnął, topór zwiesił.

— Nie dziwcie się bracia, iż mam dziś czoło posępne — rzekł — słyszę kroki wroga, który obali nasze świątynie, ognie święte nasze zagasi, popali wsie i ludność ich wymorduje.

— Łoskot siekiery słyszę wyraźnie no i szum drzew, szum źródeł, ale nic więcej — odparł tamten.

— Może niedźwiedź przeszedł się po lesie — ozwało się kilku.

Rozśmieli się inni.

Lechon popatrzał na nich z litością.

— Nie moja wina, że duszą słuchać nie umiecie — odparł — gdyby tutaj była Lila, zrozumiałaby mnie.

— Lilę bogowie dla ciebie zesłali na ziemię — odezwał się Woja, urodziwy chłopak — oboje zawsze widzicie i słyszycie to, czego my wszyscy dopatrzeć i dosłyszeć nie umiemy, oboje niezrozumiałemi słowy często mówicie; lecz chociaż jej serce czystsze od naszej krynicy, chociaż jej dusza biel-sza od lilii wodnej, choć jej oczy czarniejsze od ścian naszych chat, ja Milę wolę.

— Za dużo gadacie, czas ubiega, dziewczęta zastaną nas przy robocie — rzekł Jaczo brat rodzony Woja.

— My stosy będziemy stawiać, Lechon niech śpiewa — odezwał się Krak, nie ustępujący Woi w urodzie.

— Śpiewaj! śpiewaj! Lechonie — zawołało kilku — tyś przecież nasz pieśniarz.

Lechon złożył topór, siadł na świeżo ściętym pniu jodły i nucić począł:

Spiesz ku nam z zachodu, wróg okrutny, wróg
W piersi jego zamiast serca gład, zimny gład
W miejscu miecza w ręku krzyż, w ręku krzyż
To jego broń, to jego broń.
Idą za nim wszystkie piekiel siły
Idą gromy, wichry i pioruny
Spalą nam nasze chramy
Spalą nam nasze wioszczyzny.
O bogi potężne, o bogi wszechmocne
Za co nas chłostacie, za co nas każecie?..
Idzie ku nam wróg, idzie ku nam śmierć
Strzeżcie się, och strzeżcie.



Chłopcy w lesie w dzień święta Kupaly.

Umilkł, oparł głowę o pień drzewa i patrzył znowu wzrokiem posepnym ku zachodowi...

Chłopcy spojrzeli po sobie, ochota do żartów odbiegła ich, wierzyć, czy nie, słowom Lechona? Sami nie wiedzieli.

— Zostawmy go w pokoju, majaczy, jak zawsze — odezwał się po chwili Krak najodważniejszy ze wszystkich — nam czasu tracić nie wolno; ma słuszność Jaczo, dziewczęta zastaną nas przy robocie.

To rzekłszy pogroził sośnie toporem, inni poszli za jego przykładem, sosny walić się poczęły na nowo, lecz żarty i śmiechy nie wróciły chłopcom na usta, w sercach czuli niepokój, w milczeniu pracowali teraz.

Nareszcie pięć stosów stanęło gotowych: odarte z gałęzi jodły, szczytami połączone, oparte o ziemię, szeroko się na niej rozstawiły.

Kupało, Kupało, to na twoją cześć
Słoneczko pięknie świeć nam, świeć!

Zanucili chłopcy, skończywszy robotę, lecz echo ich pieśni smutne było.

— Teraz czas wracać na posiłek do domu — rzekł Krak — musimy powiedzieć dziewczętom gdzie uroczystość odbędziemy.

Wsunawszy za pasy topory poczęli się kierować ku łąkom, pociągnął za nimi i Lechon; właśnie

docierali do krańca lasu, gdy Krak zatrzymał się naraz.

• — Słyszycie? — zapytał głos zniżwszy.

— Co takiego? — zapytali inni.

— Ktoś dąży za nami, przysiągłbym, że nie jeden.

Woja ukląkł i ucho do ziemi przyłożył.

— Kilku nas goni — rzekł po chwili.

Spojrzeli wszyscy na Lechona.

— To nie wróg — odezwał się śpiewak — to jacyś podróżni, inaczej biegną najezdcy, zaczekajmy, niebawem nadciągną.

Rżenie konia dało się słyszeć, chłopcy skupili się razem, czekali. Z pomiędzy pni drzew wysunęło się niebawem kilku jeźdźców.

— Swoi! swoi! — zawołali.

Przodem jeden dążył, ten zdawał się być panem drużyny, wspaniałej bowiem od innych był przybrany i minę miał hardą; suknia jego z cienkiego była sukna, srebrną taśmą oszyta, na głowie miał kołpak futrzany, przy nim czaple pióro, na nogach skórznie czerwonymi tasiemkami zasznurowane, za pasem mieczyk, z ramion jego spływał płaszcz szeroki.

— Kneź jakiś chyba — szepnął Krak.

— Ale nasz, Niemce inaczej się ubierają — odparł Woja.

— Może władyka — dorzucił Jaczo.

— Za strojny na władykę — uczyniło uwagę kilku.

— Może kneź Broniborzan — rzekł Woja.

— Ten pono w niewoli u magrabi Gero? — ozwał się któryś.

— Gadzina, ilu to on już naszych zgładził — mruknął Woja.

Jeden Lechon milczał... Tymczasem konnych drużyna zbliżyła się do nich powoli, ci co dalej w kupie jechali mieli na sobie ciemne suknie, kołpaki bez piór czaplich, lecz także miecze u pasa i nogi czerwonymi sznurkami okrycone.

Jadący przodem, chłopców dojrawszy, bodnął konia i ku nim się zbliżył.

— Podróżni jesteśmy, znużeni drogą daleką, wskażcie nam chatę najbliższą w której spocząć i posilić się moglibyśmy — rzekł.

Krak wystąpił.

— Najbliższej nie wskażę, lecz najdogodniejszą — odparł — poprowadzę was do ojca mego, który jest tutaj władyką.

— Prowadź — odezwał się nieznajomy.

Krak wysunął się naprzód, lecz tamten dogonił go i postępował teraz obok, reszta dążyła za nimi.

— Licznemu rodowi twój ojciec przewodzi? — zapytał podróżny.

— Dwieście głów, licząc dzieci i niewiasty składa nasze sioło — odparł Krak — mieszkamy za temi łąkami, do których docieramy, trudnimy

się rolnictwem i pszczelnictwem; ci którzy za rzeką siedzą, to już inny ród, sami rybacy, ale na wiecach schodzą się z nami.

Las począł rzednąć, wydobyto się na zielone obszary z prawej strony z bagnami graniczące, z lewej z rzeką; naprzeciw nich widać było pola uprawne.

— Niewiele macie ziemi pod rolą — odezwał się nieznajomy.

— Plon, jaki daje, wystarcza nam — odparł Krak — za to barci dużo mamy; czy widzicie panie tę moc uli; starzy bartnictwem się zajmują, młodzi orzą i sieją.

Nieznajomy wrócił wzrok ku polom, wśród łąków tataraki, kwieciami bogato okrytej, roje pszczół kręciły się koło uli, niecierpliwie czekając, by do nich dostać się mogły i złożyć miód zebrany na łąkach.

— Niemiec was nie nawiedza, nie niszczy wam pracy? — zapytał podróżny.

— Już lat kilka spokojnie orzemy ziemię nad Łabą — odparł Krak — możecie słyszeli panie, iż gotuje się na nas? — dodał naraz niespokojnie. Wróżba Lechona przyszła mu na pamięć, lecz odpowiedzi nie otrzymał. — Jest jeden pomiędzy nami, którego bogowie łaską obdarzyli, tworzy pieśni piękne na ich cześć i wróży przyszłość innym — ciągnął dalej — żaden z nas tego nie potrafi; otóż

śpiewał nam dzisiaj, że wróg z zachodu napadnie nasze grody i sioła.

— Któryż to? — zapytał nieznajomy.

Krak skinął na Lechona, chłopiec zbliżył się nieśmiało.

— Czyś z duchami gadał, że wróżysz swoim nieszczęście? — zapytał — czyś natehniony, jak wieszczka.

Lechon poczerwieniał.

— Słyszałem co starsi szepczą — odparł.

— Cóż takiego?

— Że Niemiec ostrzy groty na nas, że czyha na naszą ziemię, iż obce bogi chce nam narzucić i mowę obcą.

Jasna twarz nieznajomego posepniała, położył dłoń na rękojeści noża, jaki miał za pasem zatknięty.

— Nie doczekanie im — szepnął.

Nędzne lepianki ukazały się ich oczom, wśród nich widać było dom pokaźniejszej powierzchowności, był to budynek drewniany, pokryty kawałami dartego drzewa i gałęziami, ogrodzony w około tynami i kłodami; prócz głównego budynku za owym ogrodzeniem, które spory kawał ziemi obejmowało, widać było chróściane szopy, jedne z nich zwierząt domowych mieszkaniem były, drugie służby. Był to dwór władcy, ojca Kraka.

Dwór wygodnie był zbudowany, jak na owe czasy: miał drzwi z progiem, okna z zasuwami

drewnianemi, by wichry jesienne i zadyмки zimowe nie dawały się we znaki jego mieszkańcom. U drzwi zamku nie było, gościnność słowiańska niedozwalała nawet na noc domów zamykać; ostrokół otaczała fosa, w której wodzie żaby skrzeczały, most zwodzony prowadził do furty, ten bywał zwykle spuszczone, podnoszono go tylko w razie napadu nieprzyjaciół na sioło, lecz Krak niepamiętał go podniesionym.

— Czy to ojca twego domostwo? — zapytał podróżny Kraka.

— Tak jest — odparł chłopiec.

Dotarli właśnie do fosy, więc przystanęli; towarzysze Kraka już się rozbiegli, pozostała tylko przy nim obcych drużyna i Lechon; Krak wskazał ręką gościowi most.

— Oto droga do nas — rzekł — proszę wejdźcie pierwsi i ty Lechonie może spożyjesz z nami obiad, Lila mówiła, by cię namówić — dodał.

Błękitne oczy chłopca pociemniały, uśmiech smętny ukazał się na jego ustach.

— Niechaj bogowie odpłacą twoją gościnność — odparł.

— Prowadź nas, jakieś dotąd czynił — odezwał się nieznajomy.

Krak wstąpił na most, drużyna jeźdźców podążyła za nim, na samym końcu szedł Lechon. Zahuczał stary przewodnik, posłyszeli jego głosy mieszkańcy dworu władky a rojno było na jego

dziecińcu od ptastwa domowego, dziatwy, niewiast i służby. Kury, usłyszawszy chrapanie koni, zagdały wrzaskliwie i uprowadziły pisklęta do sadu, z dziecińcem się łączącego; gęsi rozpostarły skrzydła i gęgając żałośnie uleciały w górę, niewiasty umknęły do swej komory przed obcymi, zostały tylko dzieci i służba, ci ciekawie przybyszom się przypatrywali.

— Czyj to drobiazg? — zapytał nieznajomy Kraka, malców wskazawszy.

— To wszystko bracia i siostry moje — rzekł Krak — pokażę wam najmłodszego, chłopiec, jak kwiatek.

To mówiąc zawołał:

— Sokoliku!

Na to wołanie przybiegło do niego czteroletnie chłopię, o jasnych jak len włosach i szafirowych oczach.

Krak podniósł brata w górę.

— Cóż nie kwiatek? — zapytał.

— Śliczne dziecię — odparł nieznajomy — wziął chłopca z rąk Kraka, posadził go na koniu przed sobą i pocałował. Obyś na sokoła wśród swoich wyrósł — rzekł. — Sokół to jeden z dzielniejszych ptaków.

Malec wyciągnął dłonie do noża świecącego za pasem nieznajomego i począł się go napierać.

— Gdy dorosisz, podaruję ci go — odparł podróżny.

Wtem drzwi dworu skrzypnęły i ukazał się w nich starzec z białą brodą do pasa, z białą głową, w płóciennej świcie z grubego płótna, bosi, z kijem w rękę. Oparłszy dłonie na kiju, wpatrzył się w obcych, którym syn przewodził.

— Gości wam prowadzę — odezwał się Krak — chyląc się do kolan ojca.

— Gość w domu, Bóg w domu — odparł poważnie Ludmir i drzwi domostwa na rozcież otworzył.

Podróżny postawił malca na ziemi, z konia zeskokczył i pośpieszył do władyki. W długiej sieni do której weszli powitał ich brytan, stróż domowy, dzwignawszy się zwolna z proga; obszedł gości wokoło, machając ogonem, zaszczekał radośnie i wrócił na swe stanowisko. Dwoje drzwi znajdowało się w sieni, jedne były zamknięte, te prowadziły do części domu przez niewiasty zajmowanej, drugie do izby władyki, do tej Ludmir gości wprowadził, podłoga w niej była z gliny gładko ubitej, w głębi widać było łożę skórą wilczą zasłane, w pobliżu ognisko kamieniami otoczone, które latem i zimą płonęło, a ponieważ komina nie było nad niem, więc dym tłukł się po izbie, osiadał na ścianach, na belkach pułapu i lśknęły one jak czarne dyamenty; nareszcie uchodził szczelinami dachu i oknami, które z powodu pogodnego dnia zasłonięte okiennicami nie były. W rogu pokoju stał białym obrusem przykryty stół, na nim leżały chleb

nakrojony i nóż; wokoło izby stały ławy, przy drzwiach ceber z wodą i z przywieszonym do niego czerpakiem, pod jednym z okien siedziała przy krosnach sędziwa niewiasta, w ciemnej spódnicy, w koszuli grubej, bosa, z głową białą chustą owiniętą, chusta zasłaniała jej czoło całe i dolną część twarzy, aż do warg.

Gdy kroki rozległy się w izbie niewiasta podniosła czoło od krosen i popatrzała ciekawie na obcych, była to żona władki. Tuż przy niej na oknie dwie sroki siedziały i patrzyły ku łąkom, u nóg jej bury kot leżał w kłębek zwinięty.

— Wiodeę wam gości matko — odezwał się Ludmir — który za przykładem dzieci, tak żonę przezywał.

Niewiasta podniosła się cicho od krosen, podeszła do stołu i wzięwszy kawałek chleba, zbliżyła się z nim do obcych.

— Gdy podzielicie się z nami darami naszej ziemi, braćmi was nazwę — rzekła.

Nieznajomy rozłamał chleb i poniósł go do ust, zwyczaj nie był mu obcym widocznie.

— Muszą oni być Sawo braćmi naszymi, gdyż brytan powitał ich mile, żadnemu na pierś nie skończył, klów nie pokazał — rzekł Ludmir.

— A z daleka przybywacie? — spytała Sawa.

— Z Chrobacyi — odparł ten, który wspaniałym ubiorem się odznaczał.

— Siądźcie, każę wam nogi obmyć — rzekła niewiasta i wyszła z izby.

Goście zajęli ławy i zrzucili obuwie, Sawa niebawem powróciła, z nią razem weszły dwie służebne, które przyniosły wiadro z wodą i córka najstarsza Ludmira, Lila zwana. Dziewczęta miały na sobie czerwone spódnice i białe koszule, włosy ich, w warkocze splecione swobodnie spadały im na plecy, Lila biało zupełnie była ubrana, tylko na piersiach jej błyszczały paciorki bursztynowe wielkości orzecha. Pięknie one odbijały od kruczych włosów dziewczęcia i czarnych pełnych powagi jej oczów, na głowie córka władyki miała wianek z lilii wodnych uwity, w ręku niosła ręcznik bogato wyszyty czerwonymi nićmi. Goście wpatrzyli się z zachwytem w piękne dziewczę, ona zdała się tego nie widzieć, gdy służebne dziewczęta, chichocząc po cichu, chowały się za plecy Sawy, lecz ukradkiem rzucały z poza nich ciekawe spojrzenia na obcych, Lila szła pełna powagi, a przystąpiwszy do tego, który wydał się jej być panem innych, rzekła:

— Pozwólcie spełnić obyczaj ojców.

I przyklękła przed nim, dziewczęta postawiły przed nią wiadro, a Lila obmyła nogi gościowi, poczem przeszła do innych.

Lechon nie spuszczał z niej oka, a gdy do niego przystąpiła, rzekł:

— Jam swój, nie trudź się ze mną siostró.

Uśmiechnęła się do niego dziewczyna.

— Tyś bratem moim, drogim mi, jak Krak — odparła stanąwszy obok niego — pytałam serca, czy przyjdiesz? powiedziało: „przyjdzie“ i nie skłamało.

— Coś chciała odemnie? — rzekł Lechon.

— Zapytać się, czyś ułożył nową pieśń na dzisiejszą uroczystość.

— Już ułożyłem.

— Goście pewno są głodni — przerwała im szeptem matka.

Lila wybiegła z izby na sługi pierwej skinąwszy, by szły za nią i cebrzyk zabrały.

— Piękną macie córkę — odezwał się jeden z gości. — niejeden wziąłby ją chętnie do swej chaty za gospodynię.

— Jednemu ją tylko dam, dziewczyny dola już rozstrzygnięta — rzekł Ludmir.

— Po woli jej, czy po niewoli?

— Po woli.

Wejście dziewczęcia przerwało im rozmowę, Lechon powitał ją śmielszym uśmiechem.

— W mojej chacie będziesz ty podniecać ogniska, gościom nogi myć, piec placki i korowaje — rzekł sam do siebie.

Za Lilą wniosły służące kosz pełen jadła i przysunąwszy do gości stół, poczęły rozstawiać na nim misy z pieczonem mięsem, placki, i kubki, dwóch zaś pacholków wniosło ceber z piwem. Sawa z córką

poczęły obnosić jedzenie, pacholcy kubki piwem napełniali, cisza izbę zaległa. Goście chwytali chciwie kawały mięsa i palcami nieśli je do ust, młaskanie języków słychać tylko było, brytan i sroki pomagały w sprzątanu niedojdzonych resztek jadła: pies kości rzucone na podłogę gryzł łapczywie, sroki zbierały skrzętnie rozrzucone okruszyny, służba wynosiła próżne misy i cebry.

— Mówiliście goście, że z Chrobacyi jedzicie, czy to rodzinna wasza ziemia? — zapytał Ludmir — pierwszy przerwawszy milczenie.

— W Gnieźnie się rodziłem — odparł zapytany — lecz ojciec państwo nad Wisłą mi naznaaczył; gdy dziedzictwo swe dzielił między trzech synów, mnie kraj górami najeżony przeznaczył.

— Zatem jesteście bratem knezia Polan i Łęczycan Mieszka, o którym długo opowiadano, iż ślepcem się urodził.

— Tak — zabrzmiała odpowiedź — przejrzał on podczas postrzyżyn, wróżą mu stąd wielką sławę.

— Ja sam wróżyłbym, a wasze imię jakie?

— Cedibor — odparł gość.

Ludmir i Krak pochyłili się do jego kolan.

— Wybaczcie dostojny panie, iż niedość uniżenie was powitaliśmy — rzekł władyka.

Lila i Sawa przypatrywały się mu ciekawie, pierwszy raz knezia widziały.

— Czemuś nam nie wywróżył tak dostojnego

gościa — szepnęła Lila w ucho Lechonowi — byłabym podłogę zasiała kwiatkami.

— Nie przeczuło go serce moje — odparł śpiewak.

— My kneziowie potrzebujemy was władyków, więc nie macie czego uniąć się przed nami — odezwał się Cedibor — człek ma to w sobie, iż dla tych, którzy mu są potrzebni, zawsze przychylnym bywa i nie bez powodu w podróż się wybrałem.

— Ciekaw jestem, co was tutaj ściągnęło? — rzekł Ludmir.

— Wspólna wszystkim niedola — odparł kneź — Niemce ostrzą szpony na nas, widziałem się z Mieszkiem, mówił mi o tem... Sądziliśmy, iż ze śmiercią Ptasznika odetchniem swobodnie, tymczasem syn jego Otto w ślady ojca wstąpić zamierza.

Ludmir westchnął.

— Jeszcze im mało krwi naszej rozlanej — szepnął — jeszcze im mało zabranej ziemi naszej.

— Czterdzieści lat szerzyli wśród nas mordy i pożogi, chcą je nowo rozpocząć — mruknął któryś z gości.

— Wężę jadowite! — rzucił inny.

— Psy wściekle!

— Padalce!

— Żmije!

Wymysłów nie brakło.

— Zabierają nam nasze grody i swoje imiona

im dają — odezwał się Cedibor — komuż niewiadomem, że Merseburg miano „Miedzina“ kiedyś nosił.

— Złodziejów i rozbójników, włóczęgów z różnych stron świata nagromadzają wodze niemieccy pod swe chorągwie, a potem tę sforę psów wściekłych na nas puszczają.

— Dalemineczów, Koledziczów, kraje średniej Łaby i Haweli głodem i żelazem zmusił do podania.

W izbie powstawał gwar coraz większy, coraz śmielsze oskarżenia rzucali goście na nieżyjącego już cesarza Henryka Ptasznika i syna jego Ottona.

— Jaszczurczy ród! — wołali.

— Lisy chytre!

— Łotry o sercach z kamienia!

Krakowi oczy gorzały gniewem tłumionym, Lechon smutnym wzrokiem patrzył przez otwarte okna ku łąkom, skąd leciał czysty śpiew skowronka; Lela przytulona do matki, ze strachem słuchała tych złorzeczeń.

— Mówicie, że Otto w ślady ojca wstępuje, jaki dowód tego? — spytał nareszcie Ludmir.

Złorzeczenia ucichły, zabrał głos Cedibor.

— Jest pewnem, iż naznaczył swoim margrabiom zjazd do Merseburga, tam naradzić się mają, na którą ziemię Słowian najechać — począł mówić zwolna i dobitnie. — Najzaciętszy z naszych wro-

gów, margrabia Gero ma obiecane dowództwo nad wojskami.

— Jak myślicie zapobiedz nieszczęściu?

— Jeszcze nie wiem, Mieszko kazał mi obiedz wszystkich braci Słowian, wszędzie powiedzieć: „Żyjmy w zgodzie, zgoda siłę tworzy“. On do cesarza chce jechać, by go zbadać chytrze, Mieszko to potrafi: udaje pokornego, gdy na dwór Ottona przyjedzie, usiąść w obec niego nie śmie, nawet w obec jego margrabiów; zgina się przed nimi nisko, płaszc swój przed stopami króla German ściele, hołdownikiem się jego mieni, a słucha pilnie i patrzy pilnie. Potem, gdy wróci do domu myśli nad tem, co widział i słyszał i pewno coś w końcu obmyśli, by nietylko siebie raz od hołdu upokarzającego uwolnić, lecz innych też braci zbawić. Teraz do Czech jadę, tam kneziem Bolesław, ten także pokorny dla cesarza, mam z nim pogadać o wspólnej sprawie.

— Cóż wasz trzeci brat rodzony porabia, boć trzech was było? — zapytał Ludmir.

— Ten za Pilicą ma ziemię, byłem już u niego, rzuciłem mu słowa, jakie Mieszko rzucić kazał, obiecał, że pamiętać je będzie — rzekł Cedibor.

— Powtórzę je wszystkim nad Łabą siedzącym, zwołam wiec, usłyszą je wszyscy, na nim zebrani.

— Kogóż zaprosicie na wiec?

— Najbliższych władcyków, w pobliżu Pszczolanki siedzi kilka rodów.

— Powinniście wybrać sobie jednego knezia, bezpieczniejsi bylibyście.

Ludmir się zadumał.

Wtem z poza okien doleciał mówiących chór głosów niewieścich:

Ku gaikowi, ku zielonemu
Ku lasowi naszemu ciemnemu
Idzie ochocza drużyna.

Cedibor się obejrzał.

— To dzisiaj święto Kupały — rzekł — pójdę i ja na uroczystość; zobaczę, czy tak samo, jak i my, ją obchodzicie.

I podniósł się z ławy.

— Dziewczęta nas wzywają — chodźmy do-
dał — kierując się ku drzwiom.

Ludmir, Krak i Lila z Lechonem ruszyli za nim, gdy stanęli na moście, ujrzeni grono dziewcząt dążące od wsi ku łąkom, za nimi śpieszyli chłopcy skacząc, borykając się i w śpiewie im wtórowali; za młodymi wolnym krokiem szli starce i niewiasty dziatwą otoczeni. Dziewczęta wszystkie białe były ubrane, wieniec z bylicy miały na głowie, wieńcami w pasie były ujęte, na piersiach każdej paciorki kolorowe świeciły. Za tym orszakiem w pewnem oddaleniu dążyła służba dźwigając misy z mięsem, placki pszenne, korowaje, i konwie piwa i dzbauny

z miodem; po Kupale zwykle spożywano wspólną ucztę.

Padła pod ciosem choina
Kupało! Kupało! to na twoją cześć
Słoneczko pięknie świeć nam, świeć!

Leciało pod obłoki, a echo niesło daleko, daleko te słowa, przez pola, przez łąki i moczary aż do lasów, aż do borów...

Ujrawszy władykę, otoczonego obcymi, drużyna przystanąła, Ludmir postąpił ku niej.

— Na dzisiejszą uroczystość przybyli do nas goście aż z nad Wisły — rzekł — dostojny kneź Cedibor ze swym orszakiem; niechaj dziewczęta zanucą piękne pieśni.

— Lechon niechaj przoduje — odparła jedna. Ludmir zwrócił się do młodego z rozkazem.

— Idź pierwszy i śpiewaj — rzekł — Lila może ci towarzyszyć.

Ruszyli razem ku lasowi, Lechon z Lilą naprzód wystąpili... Słońce chyliło się już ku zachodowi, na łąkach cisza się rozsiadała, ptaki powróciły do gniazd, muchy i motyle gdzieś znikły, pszczoły do uli się pochowały, białe opary podnosiły się z ziemi i zaczynały ją spowijać, natura ułożyła się do snu, tym wyraźniej brzmiał przeto śpiew, jaki Lechon zanucił:

Słoneczko dnia jasnego świeć nam, a grzej
Strumienie światła na ziemię lej
Kupało! Kupało!

Tyś życiem, nadzieją, tyś szczęściem
Radością naszą, naszym weselem
Kupało! Kupało!

Dotarłszy do polanki młodzi umilkli, niewiasty i starce obsiedli ją w okół, pni ściętych nie brakło; dziewczęta u nóg ojców i matek się skupiły, służba opodal strzegła jadła i napojów, chłopcy rozbiegli się po lesie: ten i ów miał ze sobą łuk, poszli po zdobycz; tak dostojny gość przybył dziś na ich uroczystość, chcieli wieszczę smaczniejszą uczynić.

Gawędząc o tem i owem starszyzna czekała zachodu słońca, pierwaj bowiem uroczystości niewolno było rozpoczynać; dziewczęta ojcom się przysłuchiwały; powtarzali wieści, jakich Cedibor władcyce udzielił, czynili najróżnorodniejsze przypuszczenia co do przyszłości, westchnienia i groźby przerywały naprzemian rozmowę. Wtem w gąszczy leśnej dało się słyszeć głucho, powolne stępanie.

— Ktoś idzie — odezwała się Sawa — która pierwsza je posłyszała.

Wszyscy wyteżyli słuch.

— Może niedźwiedz — szepnęła któraś z dziewcząt wylekłym głosem.

— Ten ciężej stąpa — odparł Ludmir.

— A jeśli Niemcy — rzucił inny — który miał w pamięci wieści przez Cedibora przywiezione.

Kilku ruszyło ramionami.

— Strach pożyczyl ci chyba uszu — odparł Sławun najpoważniejszy wiekiem po Ludmirze.

Dziewczęta się rozśmiały.

— Dobrze powiedział — odezwał się jeden z gości.

Szelest zbliżał się tymczasem, wszyscy wlepili wzrok skąd szedł, nareszcie gałęzie się rozchyliły i z pomiędzy drzew wysunął się starzec w koszuli na wierzch wyrzuconej, przepasanej sznurkiem, z nogami w szmaty obwiniętymi, z gołą głową, z kosturem w ręku. Siwe, potargane jego włosy, ramion sięgały, broda pasa niemal... Ślepcem być musiał, bo kijem torował sobie drogę, chociaż prowadziło go za rękę małe chłopię w koszulinie, bose, z płową główką, z twarzyczką aniołka, z oczyma błękitnymi, które świeciły jak kwiatki lnu na polu. Chłopię niosło w ręku lirę.

— Złotuń! Złotuń! — chórem wołać zaczęli starzy i młodzi.

Kilka dziewcząt pośpieszyło do starca, najpierwsza dobiegła Lila, ujęła go za drugą rękę i do siedzących powiodła.

— Będzie pieśń, będzie pieśń! — zaczęły wołać dzieci.

— Zaśpiewam, gdy odpocznę — rzekł lirnik — z ziemi Czechów pobratymców wracam, piękną pieśń wam przynoszę; przyda się młodym, o bojach z Niemcami — mówi.

— Niemiec znowu nam grozi — odezwał się Ludmir.

— Nie damy się — rzekł Sławun.

— Nie damy — powtórzył Cedibor i jego drużyna — podamy sobie ręce i razem na wroga pójdziemy, zgoda utworzy siłę, o którą piersi gada się rozbiją.

— Niech potężny Światowid, niechaj Łada miła nam bogini wezmą was w swoją opiekę — szepnął Złotuń. — Już odpocząłem, rozpocznę pieśń — dodał.

— Chwilę zaczekajcie, pobiegnę po chłopców, kilku brak — odezwał się Lechon i skoczył w las.

Rozległy się nawoływania, niebawem powrócił otoczony młodymi, każdy miał kilka ptaków w ręku, rzucili je służbie, poczem siedli na mchu.

— Słuchaczów ci przybyło, śpiewaj stary — odezwał się Cedibor.

Lirnik wziął lirę z rąk siedzącego u nóg jego przewodnika, trącił struny, popłynęły dźwięki rzewne, skargę i łzy w nich słychać było; na polance uci-
chło, starzy przerwali rozmowę, młodzi spoważnieli; po chwili struny umilkły, a ślepiec mówić począł.

Mężę bratnich serc ¹⁾
 Mężę ognistych wzroków
 Wam pieję pieśń
 Z padołu najgłębszych mroków
 Od serca płynie pieśń
 Od serca głębi ku wam
 A w sercu smutek sam!..
 Poszedł ojciec za ojcami
 Zostawił dziedzice

¹⁾ Z rękopismu króloworskiego: Zabój, Slawoj, Ludjek.

Młode dziatki sierotami
I swoje lubice!
Nie zostawił żadnej głowy
Nie rzekł komu: „bracie przemów
Ojcowskiemi do nich słowy“
I cudzy do naszej ziemi
Na siłę wdarł się
I słowami obcemi
Szeroko rozparł się.
Jaki zwyczaj w obcej stronie
Od mroku do świtu
Taki zwyczaj dziecku żonie
Narzucił i tu!
Kazał jedną towarzyszkę
Mieć na całą ścieżkę
Od wiosny do Marzanny
Krogulce wszystkie wypłoszył z gajów
Przyniósł nam bogi gdzieś z cudzych krajów
Przed tymi bogi czołem bić każe
Ofiary znosić na ich ołtarze
Któż starym bogom wyrządzi cześć
Kto im w przymroku poniesie jeść.
Kędy chadzali z karmią ojczyce
Kędy na modłach spędzali dzień
Tam w prochu leżą nasze bożnice
I święte drzewa wycięte w pień.

.

Naraz ślepiec przerwał pieśń, targnął struny, te fałszywy ton wydały, odrzucił lirę i wzrok posepny wlepił w gąszcz leśną.

— Śpiewaj bracie — odezwał się Sławun —
pewno szelest, który idzie z lasu spłoszył ci z ust

słowa; ktoś z naszych, spóźniony dąży na Kupalę, Sembora brak jeszcze.

— To obcy — odparł Złotun — dla obcych pieśni nie mam.

— Może ci się zdaje — rzekł Cedibor.

Lirnik głową przecząco poruszył.

— Czuję wroga, strzeżcie się go — rzekł głosem ponurym — nie otwierajcie mu serce, bo je skradnie, lub kąkol w nie rzuci.

Wszyscy spojrzeli po sobie, niepokój i trwogę wyrażały twarze większości; wtem gałęzie się rozchyliły i wysunął się z poza nich człowiek: siedział on na koniu, odmiennie od zebranych na polance był ubrany, suknia jego z sukna ciemnego na guz świecący była spiętą u szyi, nogi skórą miał pokręcane aż do kolan, ręce nagie, na głowie czapkę sukienną, na stopach ciżmy drewniane, za pasem miecz. Dwie sakwy ciężko wyładowane wisały na grzbiecie zmęczonego wierzchowca.

— W imię waszych bogów pozdrawiam was — rzekł głosem słodkim, niby miód, a jednocześnie wzrokiem chytrym, pełnym jadu obliczył siedzących na polance. — Niespodzianie trafiam, jak widzę na uroczystość, obcy ja wam wprowadzie, lecz zwyczaj wasze nie są mi obce: matkę z rodu waszego miałem, ta opowiadała chłopięciu o Kupale, rad będę jeśli mi pozwolicie uczestniczyć; co wyssiemy z mlekiem matki, to nam najdroższe.

Starzy i młodzi zwrócili spojrzenia na swego

władykę, ciekawi byli co powie. Ludmir chciał właśnie przemówić, on wierzył mocno przeczuciom ślepych lirników, lecz Cedibor go uprzedził.

— Zsiądź z konia i siadaj wśród nas — rzekł do przybysza — chociażbyś żywił względem nas złowrogie zamiary, ty jeden, nas pięćdziesięciu, a gdy kobiety i dzieci policzym to o wiele więcej; nie wążysz się nam nic złego uczynić. Przytem wiedz, że cię każdy na oku mieć będzie, bo ci nie ufamy. Niepokojące wieści krążą po ziemi Słowian, każdy obcy nieufność budzi... Skąd jedziesz — dodał naraz.

— Z Merseburga — odparł nieznajomy — zwię się Ulryk.

Cedibor zamienił wymowne spojrzenie z Ludmirem.

— Po coś do nas przyjechał? — zapytał władyka.

— Kupcem jestem towary wiozę, kto mnie na noc przyjmie gościnnie, ten piękne rzeczy zobaczy — rzekł Ulryk.

Jasnowłose dziewczę o modrych jak bławaty oczach zerwało się z pomiędzy swoich towarzyszek i przybiegło do Sławuna.

— Zaproś go ojcie — szepnęła mu do ucha.

Sławun skinął córce głową.

— Spiewaj dalej Złotunie — odezwał się Cedibor — pieśń twoja do duszy przemawia; wieniec ustroim ci czoło, gdy skończysz.

Lecz stary namarszczył się znowu.

— Dla obcych pieśni nie mam — powtórzył.

Cedibor podniósł wzrok w górę.

— Jeszcze jasno na niebie — rzekł — przy obcym niebezpieczniejsza rozmowa, niż pieśń, lub baśń, opowiem młodym powieść, którą chłopięciem będąc słyszałem, może jej nad Łabą nie znają.

— Powieść o kim? — spytała Mila piękna i śmiała córka Sławuna.

— O dzielnym rycerzu — odparł kneź Chrobacyi.

Dziewczyna się rozśmiała.

— Takiej chętnie posłuchamy — odparła — wszak prawda siostry.

Nie odpowiedziały jej inne, jedna za drugiej plecami twarz ukryła i śmiały się po cichu; tylko Lila była poważną: podniosła się zwolna i siadła tuż obok Cedibora, Lechon pociągnął za nią, kneź popatrzał na oboje.

— Niepodobni oni niezem do innych — pomyślał w duszy — poczem rozpoczął powieść:

„Dawno już bardzo dawno temu nad Polanami panował Leszek, kneź dobry, łagodny, wojny nie lubił, więc spokój miły bogom kwitł w jego państwie... Kmiecie orali zagony i braci pilnowali, ziemia rodziła każdego roku plon obfity, dzieci rosły zdrowo, matki cieszyły się ich widokiem. Lud kochał Leszka, sławił jego imię szeroko, w błogosławieństwie biegły mu lata, a miecz jego wisiał

nieruszany na ścianie, a lud jego nie wiedział co trwoga, co głód, co pożogi pożaru... Lecz ranka jednego krzyki rozpaczy zbudziły śpiącego knezia, porwał się na nogi, przywołał dworzan i pyta, co znaczą jęki, jakie echo powtarza.

— Niemiec napadł na ziemię naszą — odparł mu ze smutkiem najstarszy — na granicy naszej już płoną sioła, już krew się leje, a łuny niebo czerwienią.

— Na koń! kto żyje! — krzyknął kneź.

I chociaż sto lat już liczył, wskoczył na dzielnego rumaka, łuk na plecy i kołczan zarzucił, do boku miecz przypasał, otoczyła go liczna drużyna pośpieszyli ku granicy... Nad Wartą spotkali nieprzyjaciela, gotował się by przejść rzekę, kneź ich uprzedził, bój zawrzał krwawy, Leszek pierwszy z mieczem dobytym rzucił się na wroga, wtem strzała niemiecka wprawna dłoń rzucona trafiła w jego pierś, kneź stoczył się z konia na ziemię i ducha wyzionął. Wrzaskiem piekielnej radości uderzyli Niemcy o niebiosa, lecz Polanie wrzaskiem zemsty im odpowiedzieli i choć wodza stracili, nie poszli w rozsypkę: lecą gniewem gnane bufce na najezdника, rąbią, sieką, przerażeni Niemcy uciekać poczęli. Gdy znikli za gęstymi borami, wówczas zwycięzcy sprawili wspaniałą pogrzeb walecznemu księciu, który poległ w obronie swego ludu i usypali mu wysoką mogiłę, a pod mogiłą skarby książęce ukryli, skarbów tych strzegą duchy czujne,

lecz na Kupałę mogiła się otwiera, kto się odważy w ową noc pójść do niej, ten będzie mógł nabrać skarbów ile mu się podoba, ale śpieszyć musi, bo gdy kur zapieje, duchy zamkną mogiłę i śmiałka z niej nie wypuszczą.

— Szkoda, że daleko stąd do Warty, poszedłbym jeszcze dzisiejszej nocki do mogiły Lecha i pełną sakwę złota bym nabrał — odezwał się Krak.

— Złoto szczęścia nie daje — zgromił go Ludmir.

— Gdy Niemiec najechałby naszą ziemię, ukułbym ze złota podobną zbroję do zbroi wroga i poabiłbym go — rzekł Krak.

— Twardszą zbroję kuje miłość braci swoich i ziemi swojej, uzbrój się w nią chłopcze, a będzie zwyciężać wszędzie i zawsze — odezwał się Złotuń.

— Poszedłbym i ja na mogiłę Leszka, lecz po to, by powiedzieć dzielnemu kneziowi: „Wlej w moją pierś taką silną miłość do braci moich, abym, gdy wróg im zagrozi, zaśpiewał im pieśń, która najslabszych w niepokonanych bohaterów by przeistoczyła — rzekł Lechon.

— Nie szukaj Leszku mogiły, lecz gdy noc po upale zapadnie, idź w głąb lasu i poszukaj kwiatu paproci — odezwała się Lila.

— Jakąż moc posiada kwiat paproci? — zapytał Ulryk.

— W noc dzisiejszą stare dęby tego lasu gadać

będą o dawnych bohaterach, czem i jak oni wrogów pokonywali — odparła Lila. — Kto kwiat paproci znajdzie, zrozumie ich mowę i ujrzy słońce wyjeżdżające ze swego pałacu na trzech koniach: srebrnym, złotym i brylantowym, a słońce mu rzuci w nagrodę promień, który rozkrzesi w jego piersi świętą iskrę, a iskra ta zrodzi pieśń cudowną: pieśnią tą zwyciężać będzie najstraszniejszych wrogów.

Ulryk uśmiechnął się z politowaniem, lecz słowem nie zdradził, iż w legendę nie wierzy.

— Co lepiej zdobyć, czy skarby Lechowej mogiły, czy pieśń czarodziejską, sam nie wiem — szepnął Krak.

Rozpoczęła się sprzeczka wśród młodych: ci jedno, ci drugie wybierali, Lila i Lechon za pieśnią byli. Cedibor słuchał sprzeczki ciekawie — poczem się odezwał.

— Słyszałem, że w dawnych bardzo czasach, u ludów nam nieznanych żył mąż, który potrafił nie tylko braci zagrzewać pieśnią do boju i wroga nią pokonywać, lecz mocarze piekieł truchleli na dźwięk jego liry, a potwory leśne słuchały go z zachwytem... Być panem ludu zaiste wielka łaska bogów, lecz mieć skarby niewyczerpane, móżdż nimi czynić dobrze na ziemi, także wielkiem jest szczęściem. Pieśniarz i bogacz miłość braci zjednać sobie mogą, gdy darów bożych użyć potrafią, ale można też być cichą niewiastą, a także zyskać sobie cześć wśród swoich... Na mojej ziemi wznosi się wysoka mo-

giła, którą lud usypał na cześć córki dawnego Chrobatów knezia.

Dziewczęta zwróciły ciekawe spojrzenia na mówiącego.

— Za cóż to? — spytało kilka.

— Opowiem wam jej dzieje — odparł Cedi-bor. — Kneź Krak miał córkę piękną jak zorza, mądrą jak bogowie, dobrą jak ziemia karmicielka wszystkich, na imię jej było Wanda. Wanda bogom ślubowała, od lat najmłodszych w białej szacie i w wieńcu chodziła, strzegła w świątyni ognia świętego i bogom służyła. Po śmierci Kraka lud dwóch panów wybrał sobie, bo dwóch synów zmarły kneź zostawił, lecz starszy brat zabił młodszego, więc lud wygnał zbrodniarza i do chramu, gdzie strzegła ognia świętego Wanda, starszyzna się wybrała.

— Córko Kraka — rzekli — ul nasz bez królowej, tylko patrzeć, jak do niego zamieszanie się wkradnie; panuj nam, jesteś miła bogom, boś im ślubowała, bogowie nas umiłują, gdy panią naszą zostaniesz.

— Bogowie całego serca od nas żądają — odparła Wanda — sprzyjają wam, bo służyć im bez podziału, bo ich tylko kocham, a za was się modłę do nich; lecz gdy służyć będę ogniewi świętemu i ludowi memu, kto wie czy wówczas nie rozgniewają się na mnie i od was się nie odwrócą.

Lecz starszyzna ustąpić nie chciała.

— Sieroty my biedne — mówili — króluj nam Wando: tyś dzielna jak Krak, rozumna jak Krak i dobra jak Krak, będziemy szczęśliwi pod tobą, jak byliśmy, gdy ojciec twój nad nami panował.

I uległa prośbom ludu dziewica, lecz gdy na tronie zasiadła, wnet sława jej piękności rozeszła się szeroko po ziemiach swoich i obcych: Rytyger, ksiązę niemiecki zapragnął pojąć ją za żonę i przysłał do niej posłów.

Wanda hardą odpowiedź posłom dała: „Jeszcze tego nie bywało, aby słowiańska dziewica z dobrej woli serce i rękę Niemcom oddała“ — rzekła — powiedźcie waszemu panu, że knehini Chrobotów nigdy żoną Rytygera nie zostanie, powiedźcie mu na pociechę, że nigdy żoną niczyją nie będzie, gdyż córka Kraka bogom ślubowała“.

Wrócili posłowie z odmowną odpowiedzią; zawrzał gniewem Rytyger i hufcom zbroić się kazał. Wałą na ziemię Chrobotów liczne zastępy wroga, mord i pożogi w niej szerzą; kwilenie dzieci, jęki niewiast, przekleństwa mężów zewsząd się rozlegają, wstrząsnęły się od nich mury starego zamku, który ojciec Wandy, Krak na Wawelu zbudował; zapłakała nieboga.

— Prawdę mówiłam, że bogowie gniewać się będą, gdy serce swe podzielę — rzekła, gniew ich już spadł na mój lud; jam zawiniła, ja odpokutować muszę.

I kazała przynieść sobie śnieżne szaty, wieńcem

lilii skronie ustroiła, potem zwołała zbrojną drużynę i powiodła ją na wroga.

Niemcy ujrzawszy dziewczę w szacie śnieżnej na czele wojska Słowian, sądzili, że bogini ich wiedzie i pierzchli w nieładzie. Próżno wołał na swoje hufce Rytyger, nie usłuchały go. Wróciła Wanda na czele zwycięzców do swego grodu, lud i rycerstwo pieją hymn radosny na jej cześć, lecz ona smutna; czego? Nikt zgadnąć nie potrafi. Przyjechali nad brzeg Wisły, która bystre fale toczy pod stolicą Kraka, knehini zatrzymała konia, z siodła zeskokczyła i do rycerstwa się zwróciła: „Bogom ślubowałam, że gdy odwrócą gniew swój od ludu mego, cała się im oddam“ — rzekła.

„Marzanno, przybywaj do mnie, wiedz mnie po moście tęczowym, tam gdzie łąki zawsze się śmieją, gdzie czyste źródła wiecznie płyną, gdzie ptastwo nigdy śpiewać nie przestaje, gdzie słońce świeci bez przerwy, a bogowie przechadzają się pod jego promieniami“.

Słucha rycerstwo i nie rozumie swej pani, ona obiegła je smutnym wzrokiem, cichem westchnieniem pożegnała, poczem plusk wody się rozległ, a z nim jednocześnie krzyki rozpaczony wśród rycerstwa. Wanda do rzeki skoczyła. Biegną, śpieszą, ratują, ale próżne ich usiłowania. Wisła co bogom sprzyjała, zasłoniła dziewicę falami swojemi.

Umilkł Cedibor, cisza zapanowała na polance, po niejkiej dopiero chwili odezwała się Lila.

— I Niemcy nie powrócili więcej?

— Nie — odparł kneź — pokój zagościł znowu wśród Słowian i szczęście długie lata im sprzyjało, bogowie przyjęli ofiarę Wandy.

Lila wzrok zadumany ku błękitom podniosła.

— Bogowie przyjęli Wandy ofiarę — powtórzyła zwolna.

— Czas ognie zapalać — ozwał się Ludmir.

I wnet płomień objął wielkie kłody sosen, stopy tworzące, czerwone jego języki, wymknąwszy się z pod gałęzi rozpostartych na ziemi, z sykiem złowrogim lizać poczęły grube pnie i piąć się coraz wyżej, nareszcie zamieniły stopy w gorejące pochodnie. Wśród omszałych dębów, na tle czarnej nocy owe płonące ognie, których krwawe światło odbijało się w strumieniach wśród lasu ciekących, tworzyły wspaniały obraz.

— Łado! Kupało! Łado! rozległo się głośnem wołaniem na polance.

— Zbudziło się ptastwo, złudzone blaskiem ognia, sądząc, że to dzień, rozpostarło skrzydła i pod niebo się wzbiło, lecz wnet poznawszy pomyłkę, wróciło do strwożonych piskłat.

— Łado! Kupało! Łado! — Niesie echo w głąb lasu, płoszy sarny, łosie, wilki, wszystko ucieka przed tem wołaniem, a tymczasem młodzież koło stosów tańce rozpoczęła: dziewczęta i chłopcy trzymając się za ręce, wirują koło ogni, migają białe spodnice dziewcząt i kosy ich złote, lub krucze.

Króluj nam słońce,
Panuj bez chmury,
Siej, żyw, do życia pobudzaj,
Kupało! Łado, Kupało!

śpiewają chłopcy.

Słoneczko zaświeć ty nam zaświeć,
Bez ciebie i młodość nawet smutna,
Słoneczko zaświeć ty nam zaświeć,
Bo z tobą starość jest nie nudna.
Kupało, Łado, Kupało!

śpiewają dziewczęta.

Zapomnieli w tej chwili starzy i młodzi o Niemcu, który im grozi: siwobrode dziady i baby pomarszczone klaszczą w dłonie, w takt pieśni głowami ruszają; las drga życiem, jasno wesoło i głośno w nim. Służba napęła piwem i miodem rogi bawole, jakie każdy Słowianin ma zawsze przy sobie; starzy chętnie odwilżają gardło; niewiasty z uśmiechem przypatrują się płasom młodzieży, matki ścigają wzrokiem córki, a wzrok każdej mówi: „Moja najładniejsza“ a tych najładniejszych bardzo wiele; nawet stary lirnik rozjaśnił twarz i trąca w struny i przygrywa tańczącym; u nóg jego siedzi chłopię, jego przewodnik, temu z zachwytu ledwo oczy z oprawy nie wyskoczą; inne dzieci również oczarowane są zabawą; tylko Lila i Lechon zadumani siedzą obok siebie, na płasy nie patrzą, oczy ich błędzą po lesie, a myśl Bóg wie gdzie.

— Pójdę szukać kwiatu paproci — odezwał się naraz Lechon — ustawiłem stosy, zapaliłem je, pieśń na cześć słońca stworzyłem i zanuciłem ją pierwszy, słońce nie powinno się gniewać, iż nie doczekam końca uroczystości.

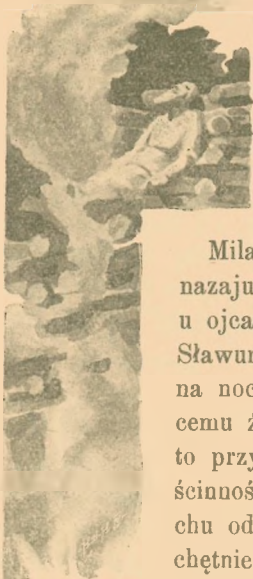
— Idź — rzekła Lila — bodajbyś je ujrzał wyjeżdżające ze swego pałacu, bodajby ci rzuciło iskrę w serce, bodajby iskra ta pieśnią wielką w twej duszy roztlili. Z tego co mówił Cedibor, nieszczęścia możemy się spodziewać, ty pieśnią je od nas odwrócisz.

Lechon powstał.

— Nim nieszczęście ukaże nam swoją bladą twarz, jeszcze się zobaczymy sestro — odparł — będziesz więc wiedziała, czy znalazłem kwiat paproci, czy nie.

Poczem skinął głową dziewczęciu i oddalił się.

Do późnej nocy przeciągnęła się uroczystość; gdy ognie pogasły, młodzi i starzy zasiedli do uczy, a podczas niej rozmowę na nowo zawiązali. Ulryk milczał, za to słuchał uważnie.



II.

Mila równo ze świtem zerwała się nazajutrz z pościeli: jedynaczką była u ojca, robiła zawsze, co chciała; Sławun uległ jej prośbom i Niemca na noc zaprosił; chociaż temu obcemu źle z oczu patrzyło i każdy to przyznawał, lecz ponieważ gościnność nie pozwalała obcemu dachu odmówić, więc lubo inni niechętnie patrzali na kupca, za złe nie mieli wszakże Sławunowi, iż go wiedzie do siebie. Na jednej skórze niedźwiedziej przespał się kmieć z Ulrykiem i nie pożałował tego, co uczynił; gość przedstawił się mu wcale innym, gdy wszedł pod jego dach. Z chytrych jego oczu sądził go zrazu źle; tam na polance tak słuchał ciekawie rozmowy starszych, iż miał go za szpiega przez Niemców nasłanego; margrabiowie nieraz wysyłali nad Łabę swych ludzi, by badali, co myślą i czynią Słowianie, a czasem w gorszym jeszcze celu: by waśnić jednych z drugimi. Lecz Ulryk tylko o swoich to-

warach z nim gadał; pytał Sławuna czy nie ma futer do sprzedania, lub bursztynu, opowiadał o trudach swego zawodu, o małych zyskach, pracy tak ciężkiej, handlarzem był całą duszą. Sławun mu obiecał, że gdy rankiem rozłoży swoje towary, on futra z komory dobędzie, nie brakło pięknych zwierząt w okolicznych lasach; bursztynów nie miał, lecz miał kilka skórek bobrowych. Zaświeciły oczy Ulryka, gdy o nich wspomniał, począł wyliczać i wychwalać swoje towary, handlarzem był, nie szpiegiem.

Mila stroić się lubiła, więc spać nie mogła całą noc, myśląc o tem, co też kupi jej ojciec; równo ze świtem zerwała się z pościeli, świeżą wodą obmyła się, świeże szaty przybrała i wianek upłótlszy sobie, pomogła potem sprzątnąć dziewczętom izbę, poczem siadła do krosen i czekała cierpliwie wezwania ojca, a służba pod jej okiem kończyła codzienne obowiązki. Mila matki nie miała, ona była panią w izbie niewieściej, lecz snąc dobra z niej była gospodyni, bo czysto w niej było i pięknie: podłogę glinianą, jak tylko wstała, sama zasypała zielem. Pod ścianami izby widać było kilka bodni, czystymi chustami przykrytych, ławy, na których dziewczęta służebne spały, białe były, łoże jej zasłane porządnie. Na stole obok komina widać było misy i kubki gliniane czysto pomyte, drewniane łyżki i parę cynowych talerzy zdradzających zamożność domu. Coraz to od krosen Mila przenosiła wzrok na Jagnę i Donię dwie swoje ulubie-

nice, które w izbie rażno się krzątały, śpiewając piosnki o wronym koniku, co poszedł z chłopcem na wojnę, a bez chłopca wrócił, Jagna ptaki oskubywała, które miała upiec na śniadanie, gdy Sławun o nie zawoła; Dona ciasto na placki gniotła.

— Coś długo dzisiaj cicho w izbie ojca — odezwiała się naraz Mila, która poczęła się niecierpliwie, iż jej nie wzywają, by towary kupca obejrzeć.

— O świcie prawie z Kupały powrócił, pewno z Niemcem jeszcze gadał; nie dziw, iż kurów piania nie słyszał — odparła Jagna.

Mila westchnęła, wtem coś zfrunęło z belki pułapu i srocza siadła na jej ramieniu, twarz dziewczęcia się rozjaśniła.

— Pójdziemy razem wybierać błyskotki — rzekła do niej z pieszczotą i ty lubisz wszystko, co świeci.

Srocza w odpowiedzi zaskrzeczała głośno, a w tejże chwili drzwi izby się rozwarły i Sławun stanął na progu. Mila pośpieszyła go witać, objęła jego kolana, on pogładził jasną jej główkę.

— Chodźcie do mej izby — rzekł — wspaniałe rzeczy przywiózł Niemiec, jest czem oczy napaść.

Dziewczęta za nim pośpieszyły, okrzyki zachwyty wyrwały się z ich ust, gdy przestąpiły próg izby Sławuna: na glinianej podłodze leżało białe płótno rozesłane, a na nim błyszczały w porządku ułożone długie igły do spinania chust, zrobione

z kruszcu świecącego, mające kształt piór, lub kwiatów, bogate naszyjniki obwieszane blaszkami, lub kolcami, a metal z jakiego były zrobione złoto naśladował, pierścienie ozdobione kamieniami, srebrne naramienniki, noże w bogatych pochwach i dłuta zgrabne. Tuż przy towarach stała gromadka młodych chłopców; Ulryk pokazywał im właśnie noże, wy dobył jeden z pochwy i zachwalał jego ostrze; nóż przechodził z rąk do rąk, chłopcom oczy się śmiały.

— Zdałby się na Niemca — mówił jeden.

— Odrazu przebiłbym mu serce — dodał drugi.

A kupiec im przytakiwał.

Mila rozepchnęła targujących.

— Daj mi ten naszyjnik z kolcami świecącymi — rzekła do Ulrycha — ojciec zapłaci ile tylko zechcesz.

Niemiec sięgnął po przedmiot żądany, wtem z ramienia dziewczęcia sroka zleciała, porwała jedną z kosztowniejszych igieł i uciekła z nią przez okno. W izbie powstał krzyk.

— Sroczo! Sroczo wróć! — poczęły wołać dziewczęta, przypadwszy do okna.

Lecz ptak przepadł, jak kamień w wodzie.

Chłopczy się śmiali, że niewiasty i sroki mają jedno upodobania, Ulryk zdawał się być obojętnym na stratę, ustroił Milę w błyszczący naszyjnik i chwalił, że jej w nim pięknie.

— Co chcesz za niego? — zapytał Sławun —

który z uśmiechem zadowolenia patrzył na rozradowaną pochwałami i błyskotką jedynaczkę.

— Trzy bobry — odparł Ulryk.

— Woja przynieś z komory pęk skór — rzekł kmić.

Woja był to syn jego brata, już nieżyjącego; własnych nie miał lecz chował u siebie dwóch bratanków, którym Niemiec ubił ojca. Woja był starszy, tego upodobał więcej i temu w myśli Mili przeznaczył. Sławun należał do zamożniejszych kmiści Pszczolanki, co zebrał trudem, potem i krwią, boć w walkach z Niemcami niejedno zdobył, to Mili miało być dziedzictwem; wołał, by dziedzictwo swojemu się dostało.

Woja żwawy i dorodny chłopak pośpieszył spełnić rozkaz stryja, niebawem powrócił, niosąc pęk skór. Sławun nie targując się z Ulrykiem wybrał trzy bobry i trzy lisy.

— Do naszyjnika nóż dorzuć — rzekł do kupca — wybierz sobie najpiękniejszy — dodał — patrząc przychylnie na przyszłego zięcia.

Młodzi pochylili się do jego kolan z podziękowaniem.

— A za srokę kto zapłaci? — zapytał Ulryk — oglądając skóry z miną, jakby nie był zupełnie zadowolony z targu.

— To wychowanica Mili, niechaj ona płaci — odparł z uśmiechem Sławun.

Poczerwieniała dziewczyna, lecz fantazyi nie

straciła: skoczyła do siebie i wnet z darem powróciła, przyniosła kawał bursztynu.

— Przywiózł mi to kiedyś gość ze stron dalekich — rzekła, wyciągając rękę do kupca — wy Niemce umiecie piękne rzeczy z bursztynu wyrabiać.

Ulrykowi oczy zaświeciły, schował szybko bursztyn do owej sakwy, poczem zwrócił się do innych dziewcząt, każda chciała coś kupić, lecz targowały się, iż za drogie ma błyskotki.

Znudziły się chłopcom te spory, przypatrując się dowoli mieczykom i dłutom, opuścili izbę; tymczasem Mila zawołała na dziewczęta, by przyniosły ojcu i kupcowi śniadanie, Ulryk towary pochował.

Posilony do syta Niemiec opuścił chatę Sławuna, uspokoiwszy zupełnie wszystkich obawy i nieufność co do swej osoby; na dziedzińcu czekał nań nakarmiony również gościnnie jego koń bułany, Ulryk przewiesił przez niego swoje sakwy, które raczej cięższymi teraz były, bo chociaż sprzedał to i owo, nabył za to futra.

Dom Sławuna o wiele był prostszy od Ludmira, jednak należał do okazańszych: drewniany, ostrokołem otoczony, tem się różnił od dworu władzyki, że fosa i wał go nie otaczały i że dla służby i zwierząt jedna tylko stała szopa na dziedzińcu na dwie części podzielona.

Skinąwszy głowę Sławunowi i niewiastom, które za próg chaty go odprowadziły, Ulryk dosiadł wierzchowca.

— A gdzież chłopcy? — zapytał — dobre słowo warto sobie rzucić przy rozstaniu.

— Woja! — huknął Sławun.

Na to wezwanie z za węgła domu wysunął się Woja, z nim razem brat jego Jaczo, obaj mieli łuki na plecach, w ręku kołczany, w które kładli strzały, ostrza strzał z białej kości były wyrobione.

— Na łowy się wybieracie? — zapytał Niemiec.

— Na łowy — odparli.

— Odprowadźcie mnie kawałek — prosił u-przejmie.

— Podobały się wam moje towary? — zagaił Ulryk rozmowę pytaniem, gdy minęli dziedziniec.

— Pewno — odparli razem bracia.

— Podobałyby się wam jeszcze lepiej nasze miasta i sioła — ciągnął dalej Ulryk — wasze chaty gniazda bobrów przypominają, nie ulepszacie ich, w jednakich zawsze mieszkacie, jak zwierzęta; u nas najlichszy nędzarz lepiej mieszka, niż wy kmiecie.

Na czole Woi ukazała się zmarszczka.

— Nie ten szczęśliwy, który w zamku mieszka, lecz ten co miły jest bogom — odparł hardo — dostatków waszych nie zazdrościmy, bo je łzami i krwią niewinnych kupowaliście.

— Można krwi nie wylewać i rósć w zamożność, ja na boje nie chodzę — odparł Ulryk.

— Kupcami nie chcemy być i nie umiemy — rzekli młodzi, nam pług i socha miłe.

Niemiec pominął ich odpowiedź milczeniem.

— Młodzi jesteście, a siedzicie, jak starzy przykuci do swej ziemi — mówił dalej — toć świat ciekawy jest; warto go poznać, a poznawszy niejednego moglibyście się nauczyć, nie jedno sobie przyswoić. Inną my strawą się żywimy, niż wy, inne suknie nosimy, inaczej sypiamy.

— Nam wystarcza chleb, jaki matki nasze pieką; płótna, jakie przędzą nasze dziewczoje, skóra wilcza dość miękkim dla nas posłaniem — rzekł Jaczo.

— Bo nie znacie lepszego.

— Tem ci lepiej.

— A jednak kupiłeś miecz odemnie, a twoja dziewczyna naszyjnik — rzekł Ulryk do Woi.

— Tak dla zabawki, lecz moglibyśmy się obejść jak wielu innych bez tych zbytków; nasze strzały dzielnie nas bronią od Niemców, a kwiaty łąk naszych pięknie stroją nasze dziewczęta — odparł zagadnięty.

— I temu nie przeczę, lecz gdy Niemiec napada, bezpieczniej mieć broń jemu podobną, a gdy zima kwiaty zwarzy dobrze jest mieć strój w skrzyni, który mrozów się nie lęka... Siedzicie u siebie, jak lisy w norze, jak niedźwiedzie w lesie, ani wiecie, co się w świecie zrywa, warzy, kto na was zgubę gotuje.

— Otóż, że wiemy — przerwali mu obaj.

Ulryk rozśmiał się głośno.

— Wiecie połowę, ale nie wszystko, co najważniejsze tego nie wiecie.

— Cóż takiego?

— Że ów Mieszko, który posłał do was brata swego, by wam piękne słówka mówił o zgodzie bratniej, że ów chytry kneź Polan zdradzić was zamierza: z cesarzem się zmawia, a z przyjaźnią dla was się oznajmia.

Woja oczy błysnęły.

— Kto ci to powiedział, ten skłamał — rzekł głosem pełnym oburzenia.

— Oszczerstwo — mruknął Jaczo i splunął.

— Nie nowina Mieszkowi łączyć się z Niemcami przeciw swoim — rzekł Ulryk.

Woja i Jaczo tym razem mu nie zaprzeczyli, to go ośmieliło.

— Z Merseburga wracam — ciągnął dalej — tam niejedno słyszałem, a że matka moja z waszego rodu była, więc ostrzegam.

— Na wiecu trzeba będzie o tem powiedzieć — odezwał się Woja.

— Kiedyż ten wiec się zbierze? — zapytał Ulryk.

— Za dni kilka — odparł Woja.

— Czy w chacie władyki?

— Gdzieżby, nietylko z Pszczolanki zasiądą do niego, lecz i z włości okolicznych, we dworzeby się nie pomieścili.

— Więc gdzież, na łąkach, w lesie?

— Mamy w pobliżu naszego siola piękny ostrów, dąb święty na nim rośnie, tam zwykle starszyzna się zbiera na rady.

— Na rzece ów ostrów?

— Na jeziorku — odparł Jaczo.

Idącym ukazały się w oddali moczary, poznać je można stąd było doskonale, bo tam gdzie słońce odbiło się w niezastłoniętej pleśnią ni błotem czystej wodzie, świeciły niby kawały złota wśród traw rozrzucone.

— My na prawo teraz pójdziemy — odezwał się Jaczo — na wodne ptastwo chcemy polować.

— Niech bogini łowów wam sprzyja, ja do lasu muszę — odparł Ulryk. Skinął im głową i ruszył śpieszniej.

— Co myślisz o nim? — zapytał Woja, brata. Jaczo ruszył ramionami.

— Ojcu powtórzę wszystko, zrobi z tem co zechce.

— Najlepiej będzie — rzekł Jaczo.

Tymczasem Niemiec dotarł do lasu, obejrzał się, chłopcy już znikli mu z oczu.

— Nieźle powiodła się tymczasem wędrówka — rzekł sam do siebie i uśmiechnął się chytrze — poczem puścił się skrajem lasu i pilnie pniom drzew przypatrywał się, naraz zatrzymał konia. — Tędy moja droga — rzekł — pokazując palcem sosnę, przy której stanął.

Na pniu drzewa widać było wycięty krzyżyk.

To rzekłszy wjechał w las. Co kilka kroków ten sam znak się powtarzał, widocznem było, iż Ulryk chciał zupełnie tą samą drogą wracać i naznaczył ją sobie. Skraj lasu był już za nim daleko, gdy znowu zatrzymał konia, teraz obejrzał się chytrze w okóło, nadstawił kilkakroć ucho, jak gdyby łowił jakieś głosy, poczem zawołał.

— Gott sei Dank!

Musiało to być umówione hasło, gdyż zaledwie je wykrzyknął, z gąszczy leśnej wysunął się mężczyzna podobnie do niego ubrany, lecz starszy wiekiem.

— Wracasz zdrów, jakże ci się powiodło? — zapytał po niemiecku.

— Dobrze — pochwalił się Ulryk.

— Opowiesz wszystko w szalasie, śniadanie cię tam czeka wyśmienite, choć grosza nie wydałem — rzekł tamten.

— Głodny nie jestem — odparł Ulryk — brakiem gościnności, jak wiesz, Słowianie nie grzeszą.

— Ale brakiem sprytu.

Rozśmieli się oba.

— Z cnót ich i wad korzystamy — rzekł Gotlieb — tak było drugiemu na imię.

Przedarli się przez gąszcz, naprzeciw nich ukazał się szałas z suchych gałęzi, przed nim tliło ognisko, pieczone ptastwo wisiało obok do tyki przywiązane.

Ulryk zsunął się z konia, zdjął sakwy i rzucił

je do namiotu, poczem spętał koniowi nogi i puścił go w las swobodnie; sam zasiadł przed dogasającym ogniskiem i chociaż oświadczył przedtem, iż jeść mu się nie chce, sięgnął jednak po upieczoną przepiórkę.

— Gadajże, coś zrobił? — odezwał się Gotlieb.

— Trochę cierpliwości — odparł przybyły — i ogryzał dalej spokojnie kości ptaka, nareszcie odrzucił je od siebie.

— Sprzedałem korzystnie trochę towarów — począł — rzuciłem ziarno niezgody nad Łabą, sądzę, że na pierwszym wiecu, wyda już ono kielek; zasiałem nieufność w kilku sercach do knezia Łęczycan, no i zdobyłem ważną tajemnicę.

— Jaką?

— Mieszko posłał do Słowian brata swego Cedibora, knezia Chrobacyi, by serca ich dla niego zdobywał.

— Należy ci się pochwała — rzekł Gotlieb.

— A wszystko to bez trudu dokonałem — ciągnął dalej Ulryk — szczerzy, wylani ci Słowianie, jak dzieci; przemów słówko serdeczne, pochlebstwo rzuc, a otworzą ci natychmiast całe serce i wszystko co jest w niem na dnie zobaczysz.

— Powiedz głupi są, a przyznam ci słuszność.

— O wiecu zamyślają.

— Wiesz gdzie się odbędzie?

— Jakżebym się nie dowiedział tak ważnej rzeczy.

— Głupcy wygadali się.

— Nie inaczej.

— Ja, lub ty musimy być na nim.

— Nie ja, bo mnie już znają; co do ciebie namyśleć się jeszcze trzeba; obcym nie wszyscy ufają.

— Cóż uczynimy?

— Rada się znajdzie, niema obawy, pieniędzy nam niebrak, margrabia Gero hojnie nasze kieszenie zaopatrzył, a gdy pieniądz jest, to i sprytu nie zbraknie. Przebierzesz się, kupimy suknie miejscowe.

— Za kogo?

— Nad tem czas jeszcze namyśleć się, a teraz pozwól mi spocząć, przespać się muszę.

To rzekłszy Ulryk wsunął się do namiotu.

— Śpij, ja do lasu pójdę, grzybów i jagód poszukam; im mniej wydamy grosza na jedzenie, tem więcej mieć go będziemy na pułapki dla głupców.

Rozśmiali się znowu obaj, Gotlieb powstał i przedarł się przez krzewy, szalas otaczające, Ulryk wyciągnął się na ziemi wygodnie i drzemać począł, lecz wilgi, kosy i wróble, świergocąc zapamiętałe, płoszyły mu sen, przeklinał je w duchu i odpędzał z gniewem natrętne muchy, które cisnęły się do jego spotniałej twarzy. Wtem usłyszał szelest, siadł przeto wyprostowany i nadstawił słuchu; gałęzie krzewów rozchyliły się, Gotlieb stanął przed nim, miał minę tajemniczą.

— Spotkałem uspiętego Apolla, Słowianin na-

pewno, cudownej urody chłopiec — rzekł — chodź, zbudzimy go i nową tajemnicę może zdobędziemy; naiwność wygląda mu z twarzy.

— Dobyłem jedną, ty dobądź drugą — odparł Ulryk, kładąc się napowrót — strzedz będę tymczasem szalasu.

Gotlieb mruknął coś niezrozumiałego i zawrócił się, lecz tamten porwał się naraz z ziemi.

— Pójdę, zobaczę — rzekł.

Posunęli się razem, niebawem dotarli do śpiącego, leżał na mechu wśród paproci, które cień rzucały mu na czoło.

— To pieśniarz siola z jakiego wracam — szepnął towarzyszowi Ulryk — usuwam się, bo mnie zna i nie ufa mi, czytałem to w jego oczach.

To powiedziawszy, cofnął się pośpiesznie. Gotlieb siadł opodal, zgarbił się i jęczeć począł głośno; jęki zbudziły Lechona, siadł, wzrokiem zamglonym sennymi marzeniami obejrzał się wokoło.

— Gdzież ja jestem — szepnął sam do siebie — przed chwilą byłem w knezia Leszka pałacu, ściany jego szczerozłote, dyamentowe sklepienie, a tu jęki słyszę... W mogile skarby, na ziemi nędza, dlaczego tak?..

Gotlieb dźwignął się i powłókł do niego, kulawego udając.

— Jeśli masz kromkę cbleba, posil głodnego; jeśli masz iskrę litości w duszy, przemów dobre słowo do nieszczęśliwego. Chleba i współczucia łaknę

już oddawna daremnie; las litościwszy od ludzi, bo mnie jagodami żywi — rzekł mową Polan.

— Coś ty za jeden? — zapytał Lechon — patrząc na niego nieufnie.

— Kmieć skrzywdzony przez knezia Mieszka.

— Kneź Mieszko własnych kmieci krzywdzi?

— Niechaj język mój skurczy się, jeśli prawdy nie mówię — zaklął Gotlieb — wygnał mnie z państwa swego, bom mu śmiało rzec, iż bogowie skarżą go za to, że zmawia się z Niemcami przeciw braciom.

— Więc z nad Warty idziesz?

— Z nad Warty.

— A suknie twoje obce?

— Obcy nędzarza wsparł, jakiś kupiec wędrownym.

Lechon westchnął.

— I kneź twój mówisz na nas się z Niemcami zmawia? — zapytał.

— Wiem o tem napewno.

— On zgodę sieje wśród Słowian, on nas nawoływa do miłości bratniej.

— A potem sprzeda cesarzowi Ottonowi.

Lechon twarz dłonią zasłonił, chwilę siedział nieruchomy, zgnębiony i milczący, naraz zerwał się błdy.

— Bogowie! jęknął oświećcie mnie, czy to zły duch, który kąkol wśród nas sieje, czy przyjaciel, który ostrzega; lecz nie, ja ci nie wierzę... Bogo-

wie zesłali na mnie sen dobroczynny, a potem wprowadzili do mogiły knezia Leszka; widziałem go, klęczałem u nóg bohatera Słowian, przycisnął głowę moją do swej mężnej piersi i rzekł: Powiedz braciom twoim, że dzień dla was świta; jutrzienka rozjaśniła już mroki na południu wśród was, z południa na zachód przeszła, niebawem sięgnie dalej jeszcze, a gdy wszędzie zaświeci, wówczas silni się staniecie, wówczas odwieczny wróg Słowian uchyli przed wami czoło i śmieć nie będzie na was spadać... Powiedz braciom, by otwartemi ramionami świt witali, bo on wygna z pomiędzy was bratnią niezgodę, bo on zbawieniem waszem. Precz odemnie kusicielu, nie powtórzę twych słów braciom, bo słowa twoje to ziarna waśni, precz odemnie duchu ciemności, precz kłamco ohydny!

W oczach Gotlieba błysnął gniew, lecz ukrył go chytrze.

— Czyń, co chcesz — odparł z udaną pokorą — prosiłem cię o kromkę chleba, bom głodny, nie dałeś; prosiłem o dobre słowo, kłamcą mnie nazwałeś... niechaj Światowid przebaczy ci te krzywdy, niechaj Łade ma cię w opiece.

To mówiąc powstał.

Lechon dźwignął się również.

— Serce me prawdę zawsze mówi — rzekł spokojnie — serce me woła: „strzeż go się“, oczy moje zawsze jasno widzą, a w twem obliczu czy-

tają obłudę; nie zapomnę chyba ich nigdy, tak przykro wryły się w mej duszy.

Odwrócił twarz przy tych słowach z nietajonym wstrętem i szybko iść począł.

— Pomogę ci byś o mnie zapomniał — mruknął za nim Gotlieb.

Przy tych słowach dobył z za sukni procę i zamierzył się za odchodzącym. Świst rozległ się, Lechon jęknął i padł bezwładny na mech, las zaścielający. Zabójca pośpieszył do szałas.

— Musiało ci się bardzo nie powieść — rzekł Ulryk patrząc na niego drwiąco — masz kwaśną minę, jak gdybyś zgryzł leśne jabłko.

— Głupiec, marzyciel opętany przez widzenia — mruknął Gotlieb i powtórzył słowa Lechona.

Ulryk się zasepił.

— Złe się stało — rzekł po chwili, teraz i ty na wiec iść nie możesz.

— Dlaczego?

— Bo pieśniarz cię pozna.

— On na wiecu nie będzie.

— Skąd wiesz o tem?

— Procą ubezwładniłem mu nogi — ponurym głosem odezwał się Gotlieb.

— Zabiłeś go! — wykrzyknął Ulryk.

— Tak — zabrzmiała odpowiedź.

— Złe się stało — powtórzył — musimy stąd uciekać.

Obaj poczęli zbierać pośpiesznie rozrzucone rze-

czy w szalasie: suknie, naczynia i towary, niebawem na rączych swych koniach śpieszyli ku wsi sąsiedniej, rozpostartej nad samą Łabą, gdzie ludność rybołóstwem się zajmowała, a chaty jej nad brzegiem rzeki były rozsypane.

Tego samego dnia stary Ludmir wracał przed samym zachodem słońca, z pługiem swoim do domu, wół leniwym krokiem postępował i sennym wzrokiem rozglądał się w okóło, nie poganiał go, utonął w myślach. Wspominał słowa Cedibora, pytał siebie, kiedy wiec zwołać i kogo nań zaprosić; doszedłszy do dziedzińca przystanął i obejrzał się po nim, szukał wzrokiem pachołka, by mu pług i wołu oddać, gdy z sieni domu wybiegła do niego Lila i z głośnym szlochaniem nogi jego objąwszy — wołać poczęła:

— Lechon nie żyje, Lechon zabity.

Stary się aż zachnął.

— Co, kiedy, gdzie? — wyrzucił naraz trzy pytania z siebie.

— W lesie, przez kogo, niewiadomo — odparła Lila. — Woja i Jaczo znaleźli go martwym i do domu ojca ponieśli... spotkałam ich, gdy z łąk wracałam.

Ludmir zadumał się smutno, poczem westchnął.

— Oddaj pług pachołkowi, ja do Sembora pójdę — rzekł.

I nieoglądając się na córkę, która ująwszy wołu za jarzmo, sama nim kierować do stajni poczęła, po-

dążył do swej izby. Jako władzyka, gdy sąsiadów nawiedzał, przebierał się zawsze wspaniale, więc włożył siermięgę z sukna ciemnego, pasem się przepasał, na nogi wzięł skórznie, kołpak na głowę w rękę kij i skierował się ku wsi, a raczej ku chacie Sembora. Sembor był najuboższym z kmieci Pszczolanki, chatka jego w istocie gniazdo bobra przypominała, a leżała na samym krańcu wsi, tuż przy żalniku, który z łąkami graniczył. Idąc żwawym wszakże krokiem Ludmir dotarł do niej niebawem; jeszcze nie wszedł na dziedziniec, a już doleciały go żalobne jęki, w chacie jednakże nikogo nie zastał; jęki szły od sadu, tam przeto się zwrócił. Gdy wszedł, ujrzał pełno ludzi: kobiety szlochały i łamały ręce, lub rwały włosy, mężczyźni skupiwszy się gromadkami szeptali. Pod wielką lipą, na skórze, rozesełanej na ziemi, siedział Sembor, oparty o pień drzewa z lirą w rękę, lecz opuszczoną ku ziemi. Sembor był muzykiem Pszczolanki, gdy z roli powracał, siadywał zawsze pod swoją ulubioną lipą i grał na lirze...

Ludmir niespodziewał się dzisiaj zastać tutaj przyjaciela, aż zatrzymał się na progu chaty ze zdziwienia, a zdziwienie to bardziej jeszcze wzrosło, gdy kroków parę dalej postąpił: u nóg Sembora klęczał syn jego jedyny, zabity Lechon z twarzą w dłoniach ukrytą, z głową pochyloną ku piersiom.

— Kogóż Marzanna tutaj zabrała? — zapytał

przysunąwszy się do jednego z kmieci — mówiono mi, że Lechon zabity.

— Wzięła najprzód Marzanna syna, lecz jęki matki snadź ją wzruszyły, puściła syna i ojca zabrała — odparł zapytany.

— Sembor w ogrodzie grał na lirze, gdy Woja i Jaczo zemdlonego Lechona do chaty przynieśli — dodał inny — matka krzyczeć poczęła: „Nie żyje, syn mój, nie żyje, zabili go zbóje“. Krzyki te dobiegły Sembora, jęknął, lirę upuścił i skonał; syn oczy otworzył po chwili, lecz wołania jego już nie zbudziły ojca.

Teraz zrozumiał Ludmir.

— Nie mówił Lechon, kto go ugodził? — zapytał.

— Podobno spotkał obcego, który żebraka udawał, tego posądza — odparł trzeci.

— Nie wiele dowiedzieliśmy się od niego, bo, gdy mu matka powiedziała, że ojciec z żalu nad nim skonał, oniemiał; już od godziny tak klęczy, jak go widzicie.

Ludmir postąpił pod lipę, ukląkł przy serdecznym drubu, objął go ramieniem i na ustach jego złożył ostatni pożegnalny pocałunek.

— Niedługo my się spotkamy Semborze, znowu pieć i jeść razem będziemy — rzekł głosem drżącym — wiernym mi byłeś przyjacielem, tęsknić będę za tobą i rad powitam w państwie Marzanny.

Poczem zbliżył się do Lechona i dłoń na jego głowie położył.

— Trzeba się zająć pogrzebem — przemówił do niego łagodnie — ustrój ojca w świąteczne szaty, to twój obowiązek; przyjaciele twoi pójdą do lasu po drzewo, ja posłów roześle, by sprosić sąsiadów, druha mego pogrzeb będzie wspaniałym. Wstań Lechonie, jedyny ty u ojca, masz po nim miejsce zająć, być opiekunem swej matki i powierzonej ci ziemi, od dziś należeć będziesz do rady mężów, jak dziecku płakać nie przystoi tobie. Marzanna ma prawo do każdego z nas; podziękuj jej, iż dozwoliła twemu ojcu wychować cię.

Lechon westchnął ciężko, dźwignął się z ziemi i Ludmira w ramię pocałował.

— Dziękuję wam — szepnął.

Poczem pochylił się do ojca, wziął go na ręce i do izby zaniósł.

Tej nocy nikt nie spał w Pszczolance: od lasu dochodził ustawicznie łoskot siekier i wałących się kłód drzewa, we wsi psy ciągle szczekały, bo tętent kopyt koni budził je co chwila. Niewiasty całą noc piekły ciasto i ptastwo różne. Ludmir nakazał, aby w każdej chacie przygotowano jadła i napojów na osób dwadzieścia.

— Toż będzie wspaniała tryzna — mówiły do dzieci i służby.

Ludmir wszakże nie samą tryznę miał na myśli rozkaz im wydając...

Nazajutrz, gdy słońce jasno oblało ziemię, z chaty Sembora wysunął się orszak żałobny i podążył uroczystym pochodem ku żalnikowi, poza którym na błoni wzniosł się stos wspaniały: przodem Woja, Jaczo, Krak i jego przyjaciel Wizun dźwigali na noszach, leżącego Sembora; wystrojony był jak na gody, w rękach lirę trzymał, która spoczywała na jego piersi, cichy spokój wiał z jego twarzy, długi srebrny włos wił się po jego ramionach w bogatych pierścieniach, tuż za nim szedł Lechon milezący i blady, prowadził on matkę, która oparłszy głowę na jego ramieniu głucho jęczała, za tem dwojgiem dążyła starszyzna, potem tłum niewiast, dziewcząt i dzieci, oraz chłopców. Dotarłszy do miejsca, gdzie był zbudowany stos, Krak i Woja wnieśli Sembora na jego szczyt i posadzili go tam, lirę u nóg jego złożywszy, poczem podłożyli pod stos ogień. Czerwone płomienie sycząc zwolna poczęły się pięć ku górze, wówczas żona zmarłego wyrwała się z objęć syna i biedz poczęła ku mężowi, lecz Lechon zatrzymał ją.

— Tyś mi jedna została na ziemi matko, nie rzucaj mnie — rzekł — ojciec tam gdzie idzie, spotka swoich, jam sierota.

Niewiasta padła na ziemię i poczęła głośniej jeszcze zawodzić, zawtórowały jej płaczki głośnym szlochaniem i krzykami, a psy ze wsi odpowiedziały im wyciem. Lechon załamał dłonie:

— Ojczy, czemu mnie odszedłeś — skarżyć się

począł głośno — byłeś mi natchnieniem, byłeś mi słońca promieniem, ojcze, ojcze czemu odszedłeś... Struny twej liry budziły myśli w mej duszy, struny twej liry krzesaly iskry w mej duszy, teraz jam niemy, teraz jam martwy. Ojcze, ojcze czemu mnie odszedłeś?

Głos jego rzewny wstrząsał najtwardsze serca, najpoważniejszym łzy z oczu płynęły; oparta o ramię ojca Lila zawodziła głośno; Lechon był jej droższym niż brat rodzony, oni tak byli podobni do siebie, tak różni od wszystkich. Jeszcze gdy dziećmi byli, schodzili się na łąkach, a gdy inne dziewczęta i chłopcy w gonitwach uciechę znajdowali, Lechon siadał pod cieniem drzewa i pieśni nucił, lub powieści opowiadał, Lila nazbierawszy kwiatów plotła z nich równianki na mogiły ojców i siedząc cicho słuchała go w skupieniu...

— On teraz martwy, on teraz niemy, bogowie zlitujcie się nad nim, zlitujcie się nademną — jęczała nieszczęśliwa — toć chwile najmilsze z mego i jego życia mają nas odbiedz na zawsze.

Nie zważając na jęki, szlochania i wycia, od jakich drżało powietrze, płomienie pięły się coraz wyżej i wyżej po stosie, nareszcie cały rozgorzał, jak wielka olbrzymia pochodnia, Sembor znikł z oczu zebranych na uroczystości. Mali chłopcy na koniach poczęli obiegać stos i wywijając rękoma wołały:

— A kysz! A kysz!

A wołaniem tem odpędzały w mniemaniu wszystkich złe duchy od zmarłego.

Nareszcie zwęglone belki poczęły się załamywać z łoskotem, wówczas wrzaski płaczek wzmogły się, dobiegły aż do lasu; ptastwo rozwinęło skrzydła i wzbiło się z krzykiem trwogi pod obłoki, ludzie i zwierzęta brali udział w żałobnej uroczystości...

Nareszcie runął stos, płomienie zagasły, słup dymu wznosił się teraz ku niebu; starsi kmiecie przystąpiwszy do zgliszcz zebrali szczątki zmarłego w wielką popielnicę, poczem ruszyli znowu wszyscy uroczystym pochodem, lecz teraz ku żalnikowi, gdzie mogił wiele widać było, wieńcami kwiatów postrojonych. Dla Sembora jeszcze poprzedniego dnia wykopali grób przyjaciele Lechona; Ludmir wstawił doń popielnicę, potem wszyscy brali garściami ziemię i rzucali ją do grobu, póki mogiła wysoka nie urosła.

Nikt teraz nie jęczał, nie szlochał, każdy silił się udawać wesołość; wierzyli, że dusza wyrwawszy się z ciała, już przeszła po moście tęczowym do świata duchów, że Sembor zasłużył na niebo, iż wita się teraz z ojcami, stąpa po kwiecistej łące, że ptastwo mu przyspiewuje wesoło, że on z duchami zmarłych ojców miód pije. Nikt nie poważyłby się płakać, bo łzami i skargą potępiłby zmarłego pamięć; dawałby do myślenia, iż dusza jego poszła do otchłani, gdzie wieczne dźdze leżą, wichry wyją i chmury kryją słońce.

Gdy już wysoko stanęła mogiła, wówczas stary Ludmir wszedł na nią.

— Bracia Słowianie — odezwał się — uczci-
liśmy pamięć zmarłego, dając świadectwo, iż zacie-
żył, że zasłużył na miłość i szacunek w naszych
sercach, więcej od nas on nie żąda, pokój mu
wieczny... Teraz wam powiem, w jakim celu za-
prosiłem was na pogrzeb druha, chciałem uczcić
zmarłego i chciałem waszej rady zasięgnąć; wici,
na wiec zapraszających zwykle, nie rozesłałem, aby
obcy ich nie spotkał i nie wkradł się na nasze
obradę. Jutro zaraz po wschodzie słońca zbierzecie
się na ostrowiu i tam dowiecie się odemnie ważnych
rzeczy, tam wspólnie uradzimy, co czynić w obec
grożącego nam niebezpieczeństwa, a teraz wszyst-
kich zapraszam do mej chaty na tryznę.

To rzekłszy postąpił uroczyście ku drożynie do
domu wiodącej; nie jęki i płacze leciały teraz ku
obłokom, lecz wesołe pieśni i żarty, psy z chat
wybiegały, z radosnem szczekaniem witały panów.
Tak do dworu władyki dotarli...

Sawa na pogrzebie nie była, uprzedzona przez
męża, przygotowała ze służbą tryznę: na dziedzińcu
i w ogrodzie stały stoły przykryte białymi ręczni-
kami, szytymi bogato, na nich misy gliniane z dy-
miącym mięsiwem i dzbany z miodem, obok stołów
stały cebry pełne piwa. Goście obsiedli stoły, Sawa
i Lila z dziewczkami obsługiwały ich; Lila blada,
jak kwiat, którego imię nosiła, coraz to zwracała

się spojrzeniem na Lechona, który z głową wspartą na dłoni siedział milczący i nieruchomy. Dusza dziewczęcia łkała z bólu, lecz wstrzymywała łzy, bo na tryznie nie godzi się płakać... Nareszcie uczta się skończyła, rozeszli się miejscowi, Ludmir przybyłych ze wsi sąsiednich u siebie na noc zatrzymał; znużeni legli wszyscy razem w jego izbie na skórach wilczych i niedźwiedzych, rozesłanych na podłodze i zasnęli niebawem z myślą o wieczu. Sawa z córką i ze służbą posprzątały stoły, a potem udały się także na spoczynek, lecz dziewczę spać nie mogło, nie próbowała nawet zamknąć powiek; dla spokoju matki ułożyła się tylko obok niej na łożu, lecz gdy posłyszała cichy oddech śpiącej, zerwała się z posłania, zbliżyła się do dziatwy śpiącej pokotem na ziemi na rozesłanych siermięgach, pocałowała najmłodsze, Sokolika, benjaminka rodziny i wysunęła się z izby.

Księżyc świecił jasno, Lila stała chwilę na dziedzińcu z rękoma złożonemi na piersiach, jakby wahała się w myślach, czy pójść, czy wrócić, naraz poczęła iść szybko ku furcie, ta była otwartą, jak zwykle, wybiegła na most, a potem przez łąki ku cmentarzowi się zwróciła. Księżyc srebrnym światłem oblewał mogiły, Lila kierowała się wśród nich z łatwością, naraz zatrzymała się.

— Lechon — szepnęła.

Przy grobie Sembora widać było młodego człowieka, czynił on wrażenie niezemskiego zjawiska,

z okiem utkwionem w gwiaździste sklepienie klęczał biały, nieruchomy, jak posąg. Lila postąpiła jeszcze kilka kroków, poczem zatrzymała się w oddali.

— Wielki, potężny, niewidzialny i tajemniczy Boże, na prochy ojca Lechona przysięgam, że służyć ci będę wiernie do śmierci, że serce całe ci oddam, lecz za to wróc mowę nieszczęśliwemu; niechaj usta jego tworzą dalej pieśni, które są jego szczęściem, a innych cnotą i duszą.

To rzekłszy umilkła, chwil kilka wpatrywała się w klęczącego.

— Żegnaj Lechonie, zagrzewaj pieśnią braci do czynów dzielnych, budź w ich sercach miłość do ziemi swej — cichym głosem dodała i wolno, bardzo wolno oddaliła się.

— Żegnaj Lechonie — rzekła głośniejszym głosem, gdy minęła furtę żalnika.

Lechon drgnął, podniósł się.

— Ktoś tu był — rzekł rozmarzonym głosem i czoło ręką przetrął — duch czyjś, lecz czyj?.. Ktoś się modlił za mnie do bogów, słyszałem słowa, lecz nie widziałem nikogo...

I obejrzał się zwolna w około.

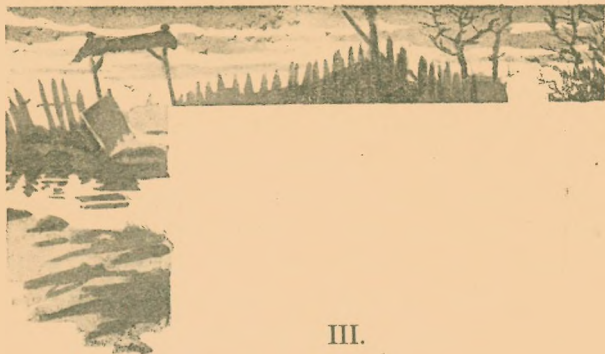
— Nikogo niema — szepnął — Ojczy czyś ty prosił za mną bogów?.. Czuję, jak myśli tłoczą się do mózgu mego, jak słowa cisną się na usta, jak serce me bije, niby pod natchnieniem twej liry... O dzięki ci ojczy.



Lechon na grobie ojca.

I rzucił się z głośnem szlochaniem na mogiłę i całować ją począł.

— Stąd płynie pieśń, słyszę ją słyszę, płynie ku mnie, tuli do swej piersi, śnieżnym swym płaszczem obwija, widzę jej oczy promienne, widzę jej czoło gwiazdziste, czuję jej dłonie miękkie i ciepłe... O pieśni moja tyś moja siłą, tyś braci dźwignią, tyś przyszłości wróżką, tyś ziemi mojej zmartwychwstaniem, o pieśni, ja cię kocham.



III.

Gwiazdy jeszcze nie zeszły z nieba, gdy na jeziorze wsi Pszczolanki ukazała się mała łódka, dwóch ludzi w niej siedziało, obaj, jak kmiecie miejscowi byli ubrani. Jeden gęśl trzymał w ręku, ten miał siwą brodę do pasa, zgarbiony był i pomarszczony, jechali milcząc, lecz coraz to zamieniali porozumiewające spojrzenia ze sobą, a najłżejszy szmer zdawał się niepokoju ich nabawiać, bo gdy rybka plusnęła głośniej, gdy ptak zatrzepotał skrzydłami, gdy trawy zaszeleściały, wnet rozglądali się wokoło.

Ten co gęśli nie miał, pracował pilnie wiosłem; w pośrodku jeziora widać było wyspę, na niej rosły brodate, stuletnie dęby i krzewy dzikie, ku tej wyspie kierowali się widocznie. Na brzegu jeziora widać było kilkanaście łódek, kształtem podobnych do łupiny orzecha, kołysały się lekko, bo wietrzyk poranny muskał toń jeziora. Słońce nie przedarło się jeszcze przez obłoki, gdy dotarli do wyspy;

ten który wiosło trzymał, oparł je o ziemię, gęślarz wysiadł.

— Jutro o świcie w umówionem miejscu — rzekł — skinał głową i zapuścił się pomiędzy dzikie krzewy.

Przewodnik nie odpowiedział, odbił od wyspy. Właśnie zbliżał się do miejsca, z którego wypłynął, gdy od wsi ukazała się gromada mężczyzn starszych i młodszych dążąca ku jezioru. Szli w porządku: przodem poważni wiekiem w siermięgach, w kołpakach, w skórznjach świątecznie przybrani, dalej młodzi w czystych koszulach i pacholey z ciężarami. Dotarłszy do jeziora, dosiedli łodzi, woda plusnęła głośno, świecące krople wzbily się w górę; przestraszone rybitwy, które właśnie po zdobycz spuszczać się poczęły znikły pod obłokami. Łodzie pruły różową, od przeglądającej się w niej zorzy tafłę jeziora, dalej wody miały kolor szmaragdu, gdzieniegdzie świeciły, jak topazy, brzegami rosły lilie wodne i niezapominajki, roje jętek uwiijało się koło nich. W pierwszej łodzi jechał Ludmir z Lechonem, stary wiosłem pracował, młody sterował. Lechon był zadumany; dobijali do wyspy, gdy doleciały od niej ciche dźwięki gęśli.

— Złotun nas wyprzedził — odezwał się Ludmir.

— Nie Złotunia gęśl gra — odparł posepnie śpiewak Pszczolanki — dźwięki, które lecą od wy-

spy, jak zgrzyt żelaza dreszczem mnie przejmują — Ludmir westchnął.

— Serce masz pełne świeżego bólu, dla ciebie każdy dźwięk zgrzytem — rzekł.

Przybili właśnie do brzegu, wśród ptastwa wodnego żyjącego tutaj od wieków, podniósł się wrzask kaczek dzikich i kurek wodnych, z jękliwym krzykiem opuściły gniazda i w górę się uniosły. Przedarłszy się przez wodne rośliny, które się ich czepiały, łodzie otoczyły wyspę wiankiem; kmiecie wysiedli na ląd i przywiązali je do rosnących brzegiem krzewów, poczem podążyli w głąb wyspy. W pośrodku niej rosło kilka dębów, mech tworzył pod nimi miękkie siedzenie, trzech władyków ze wsi sobie sąsiednich: Ludmir, Syguń i Zbiruń tam zasiedli. Obok nich ojcowie rodzin, pomiędzy tymi najstarszy wiekiem był Sławun, najmłodszy Lechon. Młodzież zajęła miejsca naprzeciw starszyny, ci głosu jeszcze nie mieli w radzie, wolno im było tylko słuchać i odpowiadać na pytania ojców; pacholcy rozstawili cebry i wiadra opodal i siedli strzedz je.

Gdy każdy zajął już właściwe miejsce, wówczas Ludmir powstał.

— Pozdrawiam was bracia — rzekł zdjawszy z głowy kołpak — pozdrawiam i dziękuję, żeście wszyscy przybyli na moje wezwanie. Nie bez powodu wiec zwołałem, mam wieści pewne, iż grozi nam niebezpieczeństwo od odwiecznego wroga. Ot-

ton Wielki, który zajął osierocony tron niemiecki przez Ptasznika, groźniejszym jest jeszcze, niż był Henryk, a najgroźniejszym jest margrabia Gero jego sprzymierzeniec, który nową zbrodnię niedawno popełnił; zaprosił trzydziestu książąt słowiańskich na ucztę, winem i miodem ich poił, mówił, że przyjaźń chce z nimi zawrzeć, a podczas uczyty wpadli jego służalcy i pomordowali wszystkich. Jeden kneź Hawłów potrafił ucieczką życie ocalić, był u Chrobotów i tam wszystko opowiedział. Czyny takie wołają o pomstę do bogów, a bogi wołają na nas: „Ukarzcie zabójców, ukarzcie krzywdzicieli“.

Stary umilkł i czekał odpowiedzi; chwilę cisza zalegała wyspę, zebrani namyślali się, co odpowiedzieć, nareszcie podniósł się Syguń.

— Mnie wieści pomyślniejsze doszły — przemówił — przejezdny kupiec z Merseburga, nieprzychylny Niemcom, bo z mlekiem matki wyssał miłość do Słowian, mówił mi, iż Lutyczanie i Obotrycy podburzeni przez knezia Hawłów już się pomścili: pobity margrabia uciekł za Łabę.

— Nie mylna to pogłoska — odezwał się Zbiruń z kolei trzeci władcyka — lecz słyszałem, że Otto dowiedziawszy się o pogromie przyjaciela, obiecał mu pomoc. Margrabia nowe siły zbiera i głosi między swoimi, że wymorduje wszystkich Słowian po kolei, a ziemię ich swoim rozda. Nazywa plemię Słowian niedołącznem, mówi, że tylko

chleb jeść i śpiewać umiemy, że nas trzeba wyrzucić z ziemi, jako chwast niepożyteczny, samemu Mieszkowi grozi. Kneź Polan i Łęczycan wzywa nas do broni: „Uprzedźmy wrogów, podajmy sobie bratnie dłonie, a zdusim gnębieli“ — woła.

— Dajcie mnie teraz głos, mam ważne rzeczy do powiedzenia — odezwał się Sławun.

— Wołaj i mów — odparł Ludmir.

Sławun się podniósł.

— Czyli pewni jesteście bracia knezia Polan i Łęczycan? — zapytał. — Na dwór cesarski on jeździ, kłania się margrabiom niemieckim, siada przy jednym stole z nimi, pije miód z ich puhałów, łamie się z nimi chlebem.

— Bo musi, bo mu chytróść tak radzi — odparł Syguń.

— A zatem chytrym jest — rzekł Sławun z naciskiem.

— Nauczył się tej podlej cnoty od Niemców — odparł Ludmir.

— Więc może nauczył się też działać przeciw nam, wszakże pomagał już raz Ottonowi — rzucił któryś z ojców.

— Słabym był wówczas i cesarz go zmusił groźbą — stanął w obronie Mieszka Zbiruń.

— Do zdrady zmusił? — z ironią zapytał Sławun.

— Bliższa koszula ciała, niż siermięga — ozwał się znowu jeden z ojców — bał się o siebie.

— Macie słuszość, lecz może i teraz cesarz



Gotlieb i Ulryk dążą na wiec.

mu grozi i każe łączyć się z Niemcami — przemówił Sławun. — Woja powiedz głośno, co ci kupiec opowiadał.

Chłopiec podniósł się zmieszany i począł powtarzać rozmowę swoją z Ulrykiem.

— Ulryk wróg, Niemiec, Mieszko nasz — przeważało mu kilka włosów — podniosły się sprzeczki, wrzało na wiecu.

Wtem rozchyliły się gałęzie krzewów, otaczających radę i siwobrody starzec z gęślą w ręku stanął przed nimi.

— Pozdrawiam was bracia — rzekł.

W kole ucichło, powstali wszyscy z szacunkiem i chórem odpowiedzieli.

— Pozdrawiamy cię ojcze.

Jeden Lechon nie ruszył się z miejsca; może nie widział gęślarza, bo twarz zasłoniętą miał dłonią, lecz chyba go słyszał, gdyż drgnął całym ciałem, gdy ten powitanie wymówił. Dlaczego? co go uderzyło w strunach głosu starca?

— Z dalekich stron przybywam, pozwólcie usiąść — rzekł gęślarz.

— Skąd idziesz? — zapytał go Syguń.

— Z Wyszehradu — odparł — jam piewca tamtejszy, na dworze knezia Bolesława często śpiewam, on mnie do was posłał.

— Po co?

— By wam rzec: „Nie wiercie Mieszkowi, on przyjaciel cesarza, jego sługa zgięty, tak pokorny

i uległy, że gdy cesarz mu rozkaże, na swoich ramię podniesie. Brata posłał do was, by was Cedi-bor omamił, potem spadnie sam tutaj, a jeśli pójdziecie z nim, Niemcom was wyda.

— Kłamiesz! — odezwał się nagle Lechon i porwał się z ziemi; oczy jego iskrzyły się szlachetnem oburzeniem, wlepił w gęślarza wzrok głęboki — kłamiesz powtórzył.

Gęśl wypadła z rąk oskarżonego, twarz jego skurczyła się.

— Upiór — szepnął i począł się cofać, lecz inni otoczyli go kołem, a Lechon przystąpił do niego i położył dłoń na jego ramieniu.

— Bracia, to mój zabójca — rzekł — poznałem te oczy źmii. Wszystko w tym człowieku jest fałszem, udaniem, kłamstwem... ta pokorna postawa kryje dumnego sługę margrabi, ta gęśl nie jego, ta broda nie jego, ta odzież nie jego. Nie na swego zabójcę żądam zwołania sądu i kary, lecz na wroga Słowian, na niebezpieczne narzędzie w rękach Niemców. To szpieg!

Po tych słowach milczenie wyspę zaległo, zebrani naradzali się spojrzzeniami, Lechona słowa szanowane były.

— Przekonaj nas o prawdzie słów twoich — odezwał się mimo to Sławun.

Krak porwał się z ziemi, oburzyła go zniewaga uczyniona jego przyjacielowi, przyskoczył do oskar-

żonego i za brodę go pociągnął, broda została w jego ręku.

— Oszust! szpieg! na gałąź z nim — rozległo się wśród młodzieży i z zaciśniętymi pięściami przyskoczyli do mniemanego gęślarza.

On padł na kolana.

— Litości — począł wołać drżącym głosem — jam nie winien, rozkaz mi dali.

Już, już dziesięć rąk mściwych spaść miało na głowę nędznika i byliby go zmiażdżyli u stóp Lechona, lecz poważny głos Ludmira uspokoił dyszących zemstą.

— Odstąpcie od niego — rzekł spokojnie.

I wnet koło winowajcy pusto się zrobiło.

— Przyprowadź go do nas Lechonie — rzucił drugi rozkaz władyka.

Lechon pchnął Niemca pod dęby, w skurczonej postawie stanął przed radą oszust.

— Niechaj pachołcy odsłonią dół, jaki się tutaj znajduje — rzekł Ludmir.

Służba posłyszała rozkaz, zerwała się i przybiegła; na dziesięć kroków przed dębami znajdował się na wyspie wykopany dół na wysokość człowieka, sądzono bowiem tutaj winowajców, a zwykle podczas sądu wpuszczano ich do dołu, by nie uciekli. Pachołcy usunęli kryjące ów dół deski, które wiatr zasypał suchemi gałęziami, tak, iż widoczne nie były dla oczu nie znających tajemnicy,

poczem wsunęli Niemca do otworu. Przestraszonymi oczyma wodził zdrajca po zebranych.

— Kto cię przysłał do nas? — zapytał Ludmir.

— Margrabia Gero, dzwoniąc zębami — odparł Gotlieb.

— Sameś przybył?

— Z Ulrykiem.

— Drugi łotr, wycodził przez zęby Woja.

— Po co cię wysłali?

— Bym was ostrzegł o złych zamiarach knezia Mieszka względem was.

— Wierzyłeś, że ostrzeżenie sprawiedliwe?

— Wierzyłem.

— Kłamiesz! — krzyknął Lechon.

— Za cóż chciałeś go zabić? — dodał Krak.

Lechon zwrócił się do włądyków i opowiedział im swoje spotkanie w lesie ze szpiegiem.

— Zbój! kłamca! — poczęli wołać wszyscy.

— Śmierć! śmierć jemu!

Chwilę wrzało na wyspie, nareszcie się uciszyło.

— Kto nie chce jego śmierci niechaj znak da — odezwał się Ludmir.

Milczenie mu odpowiedziało.

— Jakąż śmierć przeznaczacie mu? — zapytał stary włądyka

— Spalić go! żywcem! — odezwało się kilku.

— Powiesić go! — zawołali inni.

— W kawałki pociąć jego ciało i na pożarcie rzucić je psom, żądali drudzy.

Wtem Lechon podniósł w górę prawicę, na wyspie ucichło.

— Ojcowie ten człowiek do mnie należy, bo na moje życie godził — odezwał się pieśniarz — pozwólcie, bym ja sam wybrał mu śmierć.

— Wybieraj — odparli władcy.

— Zakopmy go w tym dole, lecz głowę zostawmy mu wolną, jeśli on nie tak winny, jak się nam wydaje, Bóg, którego czci, ocali go.

— Są rydle na wyspie? — zapytał Syguń.

— Zaraz będą — odparł Ludmir. — Krak, pośpiesz czółnem do domu, weź dwóch pacholków ze sobą.

Krak zrozumiał ojca, pobiegł do łodzi i wnet po cichej toni jeziora sunęła maleńka barka, zebrani na wiec wrócili do rady, już nikt knezia Łęczycan nie oskarżał teraz, nikt nie odbierał drugim do niego zaufania; wszyscy byli zdania, iż trzeba posłuchać wezwania Mieszka. Wybrano Ludmira, jako przedstawiciela nadłabskich plemion, miał iść do Poznania, złożyć hołd potężnemu władcy, i oświadczyć mu, że plemiona nad Łabą mieszkające są gotowe mu służyć. Tymczasem Syguń i Zbiruń mieli się zająć rozesłaniem wici wśród swoich i wezwaniem braci, by broń, konie i żywność przygotowywali powoli.

Niemiec stojąc w dole klął w duszy obradują-

cych, lecz pokornego udawał, licząc, iż pokorą zmiękczy sędziów.

Gdy wszystkie głosy zgodziły się na jedno, wówczas służba rozstawiła przed panami misy z mięsem, flasze z miodem, oraz dzbany z piwem; pożywiali się zebrani milcząc; starsi rozmyślali nad tem, co postanowili, młodzież nie śmiała klócić poważnych ich dumań.

Wpatrzony w kryształową toń jeziora Lechon, marzył, w oczach jego paliły się iskry tajemnicze.

— Płakał, że ucichła nazawsze lira jego ojca, która była jego natchnieniem, lecz ja widzę, że pieśń w nim tleje, że lada chwila wybuchnie płomieniem z jego piersi — szepnął Woja do brata — powiem Lili, niechaj otrze łzy.

— Patrz teraz się podnosi, wzrok jego utkwiony w błękity, nas nie widzi, ciekawa rzecz, czy usłyszymy pieśń?

Wszyscy spojrzeli na Lechona, wszyscy poznali, iż natchnienie nań stało się, cisza tak wielka wyspę zaległa, iż słycać było nawet brzęczenie muchy; więzien spoglądał na niego przestraszony, pieśniarz stanął i ku zachodowi ramię wyciągnął.

— Świt rumieni niebo, jutrenka rozlewa się coraz dalej i dalej, czy widzicie? jak szerokie szlaki obejmuje — począł mówić zrazu słabym głosem, lecz głos jego stopniowo zabrzmiewał siłą.

— Nad Łabą, nad Wartą, Wisłą, Pilicą, Bugiem, Dniestrem i Dnieprem jeszcze ciemno, lecz jutro

zaświeci tam słońce wspaniałe, wszyscy, wszyscy bracia ujrzymy to słońce. Czy widzicie? Wśród naszych plemion podnosi się naród wielki, szumi nad nim czerwona chorągiew, w krwi skąpana; naród ten ma śnieżne skrzydła, u ramion roztacza je nad nami wszystkimi, wszyscy, wszyscy pod cień ich się chronią; bądź błogosławiony ludu, który giniesz za braci; ludu, który nawałę płynącą ze stron dalekich własną pierśią odpychasz; ludu, którego tarcz bronić tyłu będzie. Czy widzicie? Ptak śnieżno pióry nad nim płynie i swemi skrzydłami, jak on nas, go otacza, obaj dzielni, obaj nieuleknieni, obaj wśród innych najpotężniejsi. Coraz jaśniej, coraz piękniej na ziemi Słowian, brzmi nuta wesola, brzmi nuta swobodna na naszych siolach, miłość bratnia kwitnie na jej niwach. Lecz cóż to? O Boże! jakaś potwora się pojawia, czarna, straszna, płyną nad nią jędze niezgody i złości. Czy widzicie? chmura słońce kryje: ciemno na ziemi Słowian, wichry, które chmurę gnają, głuszają pieśni wesole, głuszają pieśni swobodne; jęk zewsząd słyhać, jęk i płacz. Czy widzicie? potwora czarna chwyta w swe szpony braci naszych, dławi ich, pęta na nich nakłada. O Boże! Boże!

To rzekłszy Lechon usunął się blady na wilgotny mech wyspy.

— Osłabł, zostawcie go w spokoju — odezwał się Ludmir — on przyjdzie sam do siebie. Ktoś

modlił się za nim do bogów i ulitowali się, wrócili mu natchnienie, będzie dalej nam śpiewał.

To rzekłszy pochylił się troskliwie nad om-
dłym, Lechon otworzył oczy.

— Ojcie! nakłaniaj ich do zgody — szepnął słabym głosem — dusza moja straszne rzeczy widziała: widziała całe tłumy w ciemności pogrążone, widziała braci sprzedających braci za garść złota. Silniejszy słabszemu kęs chleba wydzierał, silniejszy słabszego mordował, a wrogi się śmiały, a wrogi w dłonie klaskały z radości. O biada nam, biada. Dwie łzy wielkie, ciężkie pociekły po jego bladej twarzy, zamknął znowu powieki, głowę oparł o pień drzewa.

— Krak wraca — odezwał się Woja — ręką ku jeziorowi wskazawszy.

Wistocie do wyspy dobijała łódź, młodzież skoczyła do niej.

— Daj rydle! — wołać poczęli — zasypiemy ochotnie tego, który chciał nas wieszca pozbawić; czy wiesz? Lechon znowu pieśni tworzy.

Krak wysiadł posepny, za nim pacholcy z rydlami.

— Co ci to, czyś wiedźmę spotkał po drodze i smutek rzuciła ci na serce? — zapytał Woja.

— Matkę zastałem w domu splakaną — odparł Krak.

— Czego?

— Lila uszła.

— Gdzie?

— Bogom służyć.

— Nie czekała pozwolenia ojca?

— Bała się, że odradzać będzie, miłuje ją nad życie — nie mam odwagi mu tego powiedzieć.

— Czy matce się zwierzyła?

— I matce nie.

— Więc skąd wiesz?

— Stara Donia, znachorka Pszczolanki, wieść przyniosła — spotkała ją Lila w drodze i powiedziała jej: „Idź do ojca mego, powiedz mu, niechaj przekleństwa nie rzuca na moją młodą głowę, bo w świętym celu opuściłam jego dom: idę służyć bogom, serce swoje oddam im w ofierze, aby wrócili natchnienie Lechonowi. Lechon jest cnotą, jest siłą, jest światłem swych braci, on pieśnią rozgrzewa w ich sercach miłość bratnią i odwagę, rozum roznieca w ich duszach, Lechon zamilkł z bólu; ofiarą, jaką złożę, może bogów uproszę, że mu pieśń powrócą.

— Ludmir ją pobłogosławi, nie przeklnie; on kocha was oboje, lecz dobro braci droższe mu nadewszystko — odparł Woja — jestem pewny, że sam poświęciłby was w ofierze bogom, gdyby powiedzieli, że jeśli to uczyni, błogosławić będą jego ludowi.

Krak ku dębom postąpił.

— Słusznie mówisz — powtórzę mu słowa twoje.

— Zaczekaj, aż zasypią Niemca! — zawołał za nim Woja.

Krak się zatrzymał. Młodzież spełniała właśnie wydany na zdrajcę wyrok; rosła koło niego ziemia; on wył, krzyczał, wołał litości, przeklinał naprzemian, oni zdawali się go nie słyszeć, nie naigrawali z niego, lecz nie ustawiali w robocie. Nareszcie umilkł: ziemia przytłoczyła mu pierś, ścisnęła gardło, twarz mu posiniała, oczy słupem stanęły.

— Dość już — rzekł Ludmir.

Chłopcy rzucili rydle, zebrani na wiecu poczęli się kierować ku brzegowi wyspy, wtem Krak zastąpił ojcu drogę i pochylił się do jego kolan.

— Złą wieść mi niesiesz — rzekł stary — patrząc nań bystro.

Krak powtórzył co wiedział o siostrze, oczy władzyki łzami zaszyły, podniósł je ku obłokom.

— Niewidzialny a potężny panie, Boże bogów przyjm tę ofiarę czystą i niewinną — rzekł głosem uroczystym — zlej zdroje błogosławieństw na mój lud.

— Niewidzialny a potężny, sprawiedliwy i łaskawy, czuwaj nad siostrą moją — dodał Lechon — dozwól, bym ją spotkał jeszcze w życiu, bym jej rzekł: „Ofiara twoja daremną nie była“.



IV.

Las perlił się kroplami rosy, brzmiał od świergotu ptasząt, pod cieniem jednego z dębów klęczał starzec rozmodlony w pielgrzymym ubraniu; złożone jego dłonie, wzrok utkwiony w błękity świadczyły, iż gorąco błaga o coś Pana Wszech rzeczy, u nóg jego kij sękaty leżał. W tem gałęzie pobliskich krzewów zaszeleściały, modlitwa pierzebla z ust starca, obejrzał się, wśród rozchylonych gałęzi jeryn stała dziewczyna w bieli, z wieńcem na głowie, pierzchliwa, jak łania; bo, gdy ujrzała obcego, cofnąć się chciała, lecz on uśmiechnął się do niej łagodnie; uśmiech ten uspokoił ją widocznie: pozostała na miejscu. Starzec postąpił ku niej, wspierając się na kiju.

— Czyś tutejsza? — zapytał ją mową czeską.

Zrozumiała go, wstrząsnęła głową przecząco.

— Jestem córka władyki jednego z plemion nadłabskich — rzekła — zwę się Lila; a ty kto jesteś? — dodała.

— Podróżny, z Czech idę — odparł.

— Z Czech — powtórzyła przeciągle — to pobratymcy nasi, lecz obcy nam, dzisiaj bogów się naszych wyrzekli, obcych przyjęli.

— Nie wszystko co obce złem jest — odparł starzec.

Dziewczyna podniosła na niego oczy.

— Powiedzcie mi co o waszym bogu — rzekła — strudzona jestem, chętnie odpocznę.

I podeszła do dęba, on pociągnął za nią, siedli obok siebie.

— My czcimy Światowida, nie widziałam go jeszcze nigdy — poczęła pierwsza Lila — powiadają, że to bóg srogi, ale potężny, cztery twarze ma podobno, by wejrzeniu jego nic się nie ukryło: na białym rumaku obiega nocą ziemię, pilnie jej strzeże... A twój Bóg starcze jak wygląda?

— Niewiem — odparł pielgrzym — mój Bóg jest niewidzialny, wiem tylko, czym jest.

— Czemże?

— Mój Bóg to miłość, to prawda, to sprawiedliwość, a z miłością łączy się dobroć, z prawdą rozum, ze sprawiedliwością siła; miłość jest sercem, rozum myślą; sprawiedliwość czynem... Mój Bóg to trójca wszech cnót, wszech potęgi...

Oczy starca gorzały, gdy mówił te słowa, Lila patrzyła na niego, ale go nie rozumiała; spostrzegł to pielgrzym, spojrział na nią pobłaźliwie, jak na dziecko i począł się tłumaczyć jaśniej.

— Mój Bóg jest potężny i dobry, on stworzył cały ten świat, jak i z czego to tajemnica dla ludzi; jest potężny i dobry, od ludzi też żąda by jeden drugiego miłował: „kochaj bliźniego, jak siebie samego“ powiedział nam; najmilszym synem Jego był Jezus z Betleem, który przez całe życie bliźnim służył, który szerzył na ziemi naukę, jaka szczęście ludziom zapewnić miała; za to śmierć poniósł męczeńską, lecz się nie zaparł tej nauki i rozszerzyła się ona już szeroko po ziemi i rozszerza się ciągle. Godłem jej krzyż, bo na krzyżu umęczono jej mistrza.

Lila drgnęła.

— Czy ten, który Słowianom śmierć i pożogę niesic? — spytała cicho — ja się go boję.

Pielgrzym zamiast odpowiedzi dziewczęciu, sięgnął za suknię i dobył malowany na kości wizerunek Chrystusa.

— Oto ten, którego Bóg nasz nad wszystkich umiłował — rzekł pokazując go — syn jego najmilszy Jezus Chrystus... On wzorem ludzi, on ideałem człowieka... „Czyńcie, co on czynił, a Bóg miłować was będzie“, mówią nasi kapłani.

— Cóż on czynił?

— Kochał bliźnich: dzielił się z biednym chlebem swoim, pocieszał smutnych, nauczał wiernych, uzdrawiał chorych, serce jego było pełne miłości, życie pełne czynu.

Lila wpatrzyła się w zamyśleniu w napiętnowaną wyrazem dobroci twarz Nazareńczyka.

— Idę do świątyni Światowida, ślubowałam bogom służyć — odezwała się po chwili — będę strzedz do śmierci ognia świętego; za tym ciemnym lasem, na zielonem wzgórzu wznosi się podobno świątynia Światowida... Czy i wy macie swoje chramy, czy wasze dziewice strzegą w nich ołtarzów Boga niewidzialnego?..

— I my mamy swoje świątynie, przy nich mieszkają dziewice, które swe serca Bogu oddały — odparł pielgrzym — ale nasz Bóg, powiada, że miłość do Niego nie samą modlitwą, nie samem uwielbieniem objawiać się winna, więc i owe dziewice za przykładem Jezusa pocieszają smutnych, leczą chorych, ciemnych oświecają.

Lila westchnęła, oddała obrazek pielgrzymowi i w zamyśleniu wpatrzyła się w dal; chwilę milczeli oboje, pierwsza odezwała się dziewczyna.

— Światowida czeć mój ojciec — rzekła — czeć cały mój ród, całe nasze plemię, przekleliby mnie gdybym się go wyrzekła, wyrodną nazwaliby... Pójdę do chramu boga mego, jakom postanowiła.

To rzekłszy podniosła się.

— Słodka twarz twego Jezusa stoi przedemną i stać pewno długo jeszcze będzie — dodała — lękam się, czy Światowid o to gniewać się nie będzie.

— Oby cię nigdy nie odstaąpiło to święte oblicze,

w dniach smutnych przyniesie ci ono zawsze pociechę — rzekł starzec.

Lila skinęła mu głową i oddaliła się.

— Panie zbaw to wonne i czyste kwiecie, ono warte stać na twym ołtarzu — szepnął za nią starzec. — O ludu nieszczęsny, mroki jeszcze głębokie na twym horyzoncie, ciężkie dnię cię czekają — dodał wzrok w niebo podniosłszy — lecz błysnie i dla ciebie jutrzeńka, my słudzy pokorni nie darmo wszakże w winnicy pańskiej pracujemy.

To rzekłszy w przeciwną stronę podążył.

Lila szła wolnym krokiem; słodkie oblicze Jezusa nie odstępowało jej w istocie, myślała o nim z dziwną jakąś rozkoszą; nie trwogę budziło w niej ono, jak myśl o Światowidzie, lecz pełną ufności tęsknotę.

Tymczasem las rzędzieć począł, przeświecały za nim łąki, te przywiodły na pamięć dziewczęciu cel do którego dąży: nogi pod nią zadrżały, serce bić poczęło, zwolniła kroku, chciała oddalić chwilę stanowczą...

Gdy dotarła do krańca lasu, ujrzała przed sobą szeroko rozpostartą falistą dolinę, błękitami otoczoną; w pośrodku niej na wzgórzu najwyższym stał chram otoczony częstokołem, świecący dach świątyni sterczał ponad parkan i kąpał się w słońcu. Dech w piersi dziewczęcia zaparł się, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, stanęła nieruchoma...

Więc gdy tam wejdzie, to więcej już nigdy nie

ujrzy kwiecistych łąk rodzinnych, nie usłyszy szumu lasu swego, szmeru swych źródeł; nie uściśnie więcej ojca, matki, braci i sióstr, towarzyszek swoich; Lechon pieśni nie zanuci jej już nigdy...

Na tę myśl odwaga ją opuściła; w jej duszy odezwał się głos tajemniczy.

— Uciekaj! uciekaj stąd!

Lecz była to tylko chwila słabości, wnet otrząsnęła się z niej: czyż ona, córka władyki śmiałaby wówczas spojrzeć swoim w oczy, gdyby uciekła od chramu... Ojciec, matka, brat wstydziliby się jej; bo gdy raz poszła, zostać powinna... Możeby rodzice nie puścili jej, gdyby im powiedziała, że chce bogom się poświęcić, lecz gdy poszła z własnej woli, nie przyjęliby jej teraz z pewnością do chaty: „ty do bogów już należysz“ powiedziałby jej ojciec „gdybym ci wrota domu mego otworzył, ściągnąłbym ich gniew nie tylko na siebie, lecz i na plemię moje całe“, nie wolno mi tego czynić, nie wolno mi nie dotrzymać ślubu. I odegnała kuszące słowa od siebie i znowu poczęła iść ku chramowi... Wokół częstokołu leżały olbrzymie kamienie, na nich siedzieli różni ludzie, starce, młodzi, biedni i bogaci, z różnych stron ziemi widocznie przybyli, bo różnie byli ubrani, każdy coś trzymał w ręku; ta szmaty krasnej kawał, inna płótna spory tłumok, lub pęk ziół polnych; ten ziemi bryłę, w której srebrne żyły migwały, inny bursztyny, inny jeszcze futra piękne. Odpoczywali po drodze, Lila zwróciła wszystkich

uwagę, przypatrywali się jej ciekawie i dziwili, iż żadnej ofiary potężnemu bogowi nie przynosi; nie zgadywali, iż niesie największą z nich wszystkich, bo serce swoje, młodość swoją...

Zmieszana spojrzzeniami, chcąc pytań uniknąć, Lila minęła podróżnych i śpiesznie podążyła do ogrodzenia otaczającego świątynię. Siwobrody starzec w białej długiej sukni strzegł furty, siedząc na pniu drzewa, obok niego stał ceber z wodą, przy nim wiaderko; wzruszona Lila czuła potrzebę ugasić pragnienie, zbliżyła się przeto do cebra.

— Czy można się napić? — spytała.

Starzec w milczeniu skinął jej głową, a gdy puściła wiaderko, zapytał surowo:

— Po co przyszłaś?

— Służyć Światowidowi, kapłanką ognia świętego chcę zostać — odparła.

W oczach jego błysnęło jak gdyby współczucie, czyżby żałował jej młodości, nie powiedział jednak tego.

— Czy wiesz jakie są obowiązki kapłanki? — zapytał, tonu nie zmieniawszy.

— Niewiem — rzekła.

— Będiesz musiała zamiatać świątynię, porządek w niej utrzymywać, gotować żywność dla kapłanów i kapłanek, ogień święty podniecać, chwili czasu nie dadzą ci spokoju, dwie godziny sypiają tylko na dobę kapłanki.

— Trudu się nie lękam — odparła Lila.

On popatrzał na nią teraz dłużej, głębiej, wrót nie otwierał.

— Czy wiesz? — odezwał się po chwili znowu — że ta która próg świątyni naszej przejdzie, nazawsze z nami zostaje; chociażby tęsknota za przeszłością rwała jej serce w kawały, pozostać musi. Czy wiesz, że ta która zdradzi Światowida, śmierć ściąga na siebie, że ją żywcem grzebiemy wówczas? Czy wiesz, że ni ojca, ni matki, ni siostry, ni brata prośby nas nie wzruszają, że na niczyje błagania nie wypuszczamy więcej tej od nas, która próg świątyni raz przestąpi?

Lila podniosła czoło z godnością.

— Ślubowałam bogom, będę im służyć wiernie — odparła.

Starzec furtę odchylił.

— Niechaj bogowie czuwają nad tobą — rzekł głosem wzruszonym.

Furta zamknęła się za nią, dreszcz trwogi ją przebiegł: znalazła się w ulicy długiej, obitej deskami błękitno malowanemi, na których dary pobożnych wisiały; na końcu ulicy widać było chram. Cztery słupy bogato rzeźbą ozdobione wspierały dach błyszczący; między słupami były ściany zbite z desek również błękitno malowanych.

Chwiejącym krokiem zbliżała się powoli Lila do tego tajemniczego przybytku, gdy dotarła wreszcie, sił jej brakło, napół zemdlna oparła się o jeden ze słupów. Cisza uroczysta tutaj panowała,

dobrze jej było z nią; zamknęła oczy, starała się o niczem nie myśleć.

— Czego chcesz od nas? — odezwał się naraz głos obcy.

Słowa te otrzeźwiły ją; otworzyła oczy, przed nią stał znowu starzec w białej szacie, lecz nie ten sam. Ten wieniec zielony miał na głowie.

— Czego chcesz od nas? — powtórzył pytanie.

— W tej świątyni strzedz ognia świętego — odparła wreszcie.

Kapłan roztworzył szeroko drzwi chramu.

— Idź za mną — rzekł uroczystym głosem.

W świątyni mrok panował. Lila zrazu nie odróżnić w niej nie mogła, lecz gdy oswoiła oczy z ciemnością, dojrzała w głębi, palące się ognisko, otoczone kamieniami, przed nim siedzące dwie niewiasty w bieli, które podrzucały bezustannie drobne drzewka do ognia.

Kapłan przystąpił do jednej z nich.

— Przygotuj miejsce dla nowicyuszki — rzekł.

Ona podniosła się natychmiast i cichym krokiem chram opuściła.

— Zajmij jej miejsce — rzekł starzec do Lili — czynź to, co czyni twoja towarzyszka, dopóki nie każą ci, co innego robić.

Lila zajęła opróżnione miejsce: od ogniska leciał ku niej dym gryzący, zioła i bursztyny przyniesione przez pobożnych paliły się właśnie, oswoiła się z nim wszakże niebawem i poczęła rozglądać

się dookoła. Nagle dreszcz nią wstrząsnął: buchnąwszy jaśniej, płomień oświecił, stojącą naprzeciw niej poza świętym ogniem postać przewyższającą o wiele wzrostem zwyczajnego człowieka. Postać ta miała głowę olbrzymią, a dziewczęciu się zdało, że musi mieć cztery twarze, bo prócz tych, które ku ognisku były zwrócone z dwóch stron wyzierały jeszcze oczy i usta. Był to Światowid, bóg czczony przez wiele plemion Słowiańskich. Te oczy, w których blask ognia się odbijał, więc krwawe, te usta rozwarte, czyniły postać boga straszną. Mimowoli nasunęło się na pamięć Lili słodkie oblicze, jakie jej, spotkany w lesie starzec ukazał, takie inne, taką ufność w sercu jej budzące, lecz zlekła się własnych myśli i poczęła je odganiać jako grzeszne, gorliwiej dorzucać drwa do ognia i szeptać:

— Wielki potężny Światowidzie, wielbi cię dusza moja.

Lecz słodkie oblicze nie ustępowało, pełne dobroci oczy Jezusa patrzyły na nią jak gdyby z litością i mówić się jej zdawały:

— Mój Bóg nie samej modlitwy żąda, nie samego uwielbienia dla siebie. On żąda byśmy dobrze drugim czynili; dziewice, które służą w moich świątyniach leczą chorych, smutnych cieszą.

Niepokój jej wzrastał w tej martwej ciszy, walczyła z sobą, by się nie zerwać z kamienia, nie uciec z chramu... Nareszcie czyjeś stąpanie rozległo się za nią.



Lila w świątyni Peruna.

— Chodź za mną — przemówił do niej kapłan.

Podniosła się, ktoś ją zastąpił, kto, nawet nie spojrzała; starzec wyprowadził ją przeciwną stroną od tej, którą tutaj weszła: ujrzała teraz przed sobą niewielki dziedziniec, w okół budynkami otoczony, na nim kilka kobiet, zajętych różnie: jedna zamiała dziedziniec, druga niosła w wiadrach wodę ku bramie częstokołu, trzecia rozniecała ognisko na dziedzińcu, inne przyrządzały ptastwo do pieczenia. Były między nimi stare, młode, brzydkie, urodziwe, wszystkie w białe szaty i wieńce przybrane.

— Nija, weź dziewczę w opiekę — odezwał się kapłan i oddalił do jednego z budynków.

Poważna wiekiem niewiasta przystąpiła do Lili, inne poczęły przypatrywać się jej ciekawie, w kilku oczach błysnęła zazdrość.

— Kiedyś przybyła? — zapytała ją kapłanka.

— Dzisiaj — odparła Lila.

— Z daleka?

— Pięć dni szłam.

— Co cię skłoniło do wyrzeczenia się świata?

— Szczeście moich braci.

— Ciężka dola cię czeka, piosnki nie posłyszysz u nas, łez się nałykasz.

— Światowid mnie wesprze.

Kapłanka westchnęła.

— Rozejrzyj się dookoła, przypatrz wszystkiemu, potem robotę ci dam — rzekła.

Lila obejrzała się wokoło.

— Kto mieszka w tych budynkach? — spytała.

— W najędzniejszym my kapłanki, w tym drugim kapłani, w najpokaźniejszym biały koń, na którym Światowid nocą objeżdża ziemię — odparła Nija — siądź na ławie i spocznij, wrócę do ciebie zaraz — dodała.

— Niestrudziłam się w świątyni, wolałabym dostać robotę — rzekła Lila.

Kapłanka podeszła do tej, która dziedziniec zamiatła i odebrała jej miotłę.

— Pomagaj wieczерze gotować — rzekła i miotłę przyniosła Lili.

Dziewczę zabrało się do pracy, lecz wprawne nie było, w domu sługi wyręczały córkę władyki, matka pieściła.

— Białe twoje ręce i czoło białe, nie nawykłaś ty do trudu — odezwały się stąd i zowąd drwiące głosy.

Lila poczerwieniała.

— Patrz, co ona śmieci zostawia za sobą, kapłan skaże ją na pokutę — przemówiła głośno — wracająca od furty z wiadrem i rzuciła nowicyuszcze gniewne spojrzenie.

— Czego ona tutaj przyszła? koszula na niej cienka, snadź biedy nie znała; liczko ma gładkie, pewno ludzie śmieli się do niej — dodała inna.

— By panować, by nad nas wszystkie się wywyższyć i pierwsze miejsce tutaj zająć — odparła któraś.

Lila podniosła głowę, oczy jej pociemniały, chciała coś odpowiedzieć, a odpowiedź nie byłaby z pewnością pokorną, bo do pokory nie nawykła, gdy Nija stanęła przy niej.

— Spokój to połowa szczęścia — rzekła łagodnie — naucz się milczeć, gdy zazdrośni klóć cię będą językiem, by żółcią tve białe liczko popłamić i gniewem zmącić tve jasne wejrzenie, a zdobędziesz sobie spokój.

Lila pochyliła się do jej kolan z podziękowaniem.

— Zamieć dziedziniec, potem się posilisz i spać pójdiesz — dodała głośniejszym głosem Nija — o północy wrócisz do chramu, zbudzę cię sama.

I o północy w istocie poprowadziła ją do świątyni, gdzie Lila zastała ową złośliwą dziewczynę, którą widziała na dziedzińcu z wiadrami; Węda było jej na imię, miały razem strzedz ognia świętego.

— Gdy pobędziesz tutaj rok jeden, przeklniesz, jak ja, ten nieruchomy posąg, ale już cię żadna moc stąd nie wyrwie — odezwała się posepnym głosem tamta. — Świątyni tej pilnują kamienne duchy, gdy która z kapłanek uchodzi, życie w głązy wstępuje, rosną im olbrzymie ramiona, chwytają nieszczęsną i kapłanom oddają.

Lila nie odpowiedziała, nawet nie spojrzała na mówiącą; Węda drwiąco popatrzała na nią.

— Kogo się więcej boisz: mnie, czy Światowida? — spytała.

— Ciebie — odparła spokojnie Lila.

— Dlaczego?

— Światowid zna moje serce na wskrós; wie że w nim grzesznych myśli niema; ty chcesz w niem złe dopatrzeć.

— Niema czystych wśród ludzi — mruknęła kapłanka.

— W chacie ojca chowana, złego nie poznałam — odparła Lila — może je z czasem poznam, tutaj tak różne serca.

— Ułatwię ci to poznanie — odparła złośliwa dziewczyna.

Lila znowu nic nie odpowiedziała, zamilkły obie.

— Słyszysz tętent, ktoś z pobożnych przyjechał — odezwała się po chwili Węda — chwala Światowidowi, zobaczymy obce twarze; noc księżycowa im sprzyjała; przybyli, chociaż do świtu daleko.

W istocie tętent i chrapanie koni dobiegało. Lila pomyślała: „może ojciec za mną pogoń wysłał i zadrzała. „Może wróżyć mi kaźń, za wróżbę płacą hojnie, by dobrą była“ rzekła sobie w duszy Węda.

Ktoś uchylił drzwi świątyni, kroki się rozległy, trzech mężczyzn weszło do chramu, promień księżyca wkradł się za nimi i oświecił ich postaci: jeden ciemnym płaszczem był owinięty, na głowie miał kołpak, na nogach skórzane trzewiki, drugi

jasno włosę chłopię, miał na sobie błękitną obcisłą suknię i czapkę z czaplim piórem, trzeci był to Ulryk.

Pierwszy, przestąpiwszy próg, czołem uderzył trzykroć przed ołtarzem i zdawał się być wzruszony; jasnowłosę chłopię z widocznym lękiem patrzyło na Światowida, koło ust Ulryka wił się drwiący uśmiech; lecz spostrzegłszy, że jedna z kapłanek przypatruje się im pilnie, pociągnął nieznacznie, stojące obok niego pacholę i padli oba na ziemię. Po chwili powstali wszyscy trzej, ten, co najwspanialej był przybrany, przystąpił do kapłanek i podał każdej kilka sztuk złota, Węda schwyciła je skwapliwie i ukryła za suknię, Lila odtrąciła z oburzeniem.

— Nie dla złota bogom służę — dumnie odparła.

— To je bogu oddaj — rzekł przybysz.

Dziewczyna podniosła się i złoto na posąg złożyła.

Obcy opuścili świątynię, Węda z gniewnem spojrzeniem do Lili się zwróciła.

— Jeśli mnie oskarżysz przed kapłanem, iż pieniądze wzięłam, będzie ci tutaj bardzo źle — rzekła.

— Nie wiedziałam, że brać nie wolno — odparła Lila — lecz skarżyć nie będę, nie polecił mi kapłan, bym czuwała nad mojami towarzyszkami, to jego rzecz.

— Pst! — szepnęła Węda. Znowu kroki się

rozległy lecz z przeciwnej strony; tym razem weszła Nija z młodą kapłanką zbliżyła się do Lili.

— Chodź za mną — rzekła — Ruja cię zastąpi.

-- Czyż już północ? — spytała Lila.

— Jeszcze nie, lecz kapłan cię wzywa.

Lila podniosła się śpiesznie.

— Jakiś kneź, który nazwiska swego nie powiedział, chce byś mu wróżyła — rzekła Nija — gdy minęły świątynię.

— Alboż ja potrafię? — odparła Lila.

— Bądź spokojna, zaraz ci przyniosę napoju, który doda ci śmiałości, słowa same z ust twych płynąć będą, siądź tymczasem na ławie, kneź i jego towarzysze wnet tutaj przyjdą.

To rzekłszy, oddaliła się Nija, wróciła wszakże niebawem, w rękę trzymała kubek pełen jakiegoś ciemnego płynu, za nią młodsze kapłanki niosły wielki ceber z wodą.

— Pij — rzekła do Lili — podając jej kubek.

Ceber kazała w pośrodku dziedzińca postawić.

Cudowny to był napój, Lila uczuła wstępującą w siebie dziwną odwagę; pewną była, iż nie zlekłaby się teraz samego nawet cesarza Niemców.

— Kiedyż przyjdą? — spytała Niję.

— Już idą — odparła tamta.

Z domu kapłana wysunęło się właśnie kilka postaci, byli to ci sami, którzy przed chwilą w świątyni Światowida składali pokłony bogu; Lila teraz

dopiero poznała Ulryka i serce jej zadrżało oburzeniem, nie widziała tamtych, tylko jego.

— Stań nad cebrem, patrz w wodę i wróż — rzekła do niej Nija.

Ona posunęła się, jak senna do środka dziedzińca, jednocześnie z obcymi stanęła przy cebrze; młoda jej twarz miała w tej chwili surowy i gniewny wyraz; nie patrząc więcej na obcych, zatopiła wzrok w wodę, rękę tylko ku nim wyciągnęła.

— Wróżby chcesz zdrajco — rzekła ochrypłym głosem — jakiejże wróżby spodziewać się możesz, jeśli nie groźnej: przeklną twoją pamięć moi bracia, moi bogowie piorun cisną na twą głowę ..

Ten, który knezia miał postawę, drgnął, twarz jego trupią bladością się pokryła, Ulryk uśmiechnął się złośliwie. Lila dalej ciągnęła, nie widząc wrażenia, jakie słowa jej sprawiają.

— Z mlekiem matki powinienes był wyssać miłość do ziemi naszej; a tyś wyssał do niej nienawiść; z krwią matki powinienes był zaczerpnąć w swe serce przyjaźń do synów tej ziemi, a ty ich zgubić chcesz... Precz stąd nędzniku, stopy twoje, spojrzenie twoje, oddech twój znieważają to święte miejsce. Precz! precz! precz!

Twarz przybysza z białej szkarłatną się stała.

— Ta dziewczka pożałuje gorzko tej wróżby — rzekł.

Skinął na swoich i odeszli.

Lila zachwiała się i byłaby padła na ziemię,

lecz Nija objęła ją ramieniem i odprowadziła do własnej izby. Tam zmęczone wrażeniami, ziołami upojone dziewczę, wnet usnęło, lecz sen jej był niespokojny i majaczyła ciągle, to krzyczała, że chata jej płonie, to, że Niemcy ją porywają... Nija czuwała nad nią spokojna, znała własność ziół, była pewną, iż rankiem Lila zbudzi się zdrowa.

Tymczasem ci, którzy wysłuchali groźnej wróżby kapłanki, dążyli ku wsi leżącej w pobliżu.

— Nie bierzcie panie do serca słów wieszczki — odezwał się Ulryk do swego towarzysza — sądziła, że ja chcę wróżby i mnie straszyla... Musiała mnie poznać, jak ja ją: to córka władzyki, z którego rozkazu pewno zginął Gotlieb; niezdarny był to poseł, dużo złego wyrządził: na siebie ściągnął śmierć, mnie popsuł to, com już dokonał... Zasiałem w serca Nadłabian niewiarę do Mieszka, on kneziowi Polan ich zaufanie powrócił. Niezręcznie udawał żebraka, w gniewie zamiast zabić jednego z niebezpieczniejszych dla nas, odurzył go tylko i tym niebezpieczniejszym uczynił, słowem moc pomyłek popełnił.

— Skąd wiesz o tym wszystkim, kiedy Gotlieb nie żyje, czy przy tobie skonał?

— Takie wieści krążą nad Łabą, zbierałem je, gdym poszukiwał mego towarzysza — odparł Ulryk — nie mogąc się doczekać jego powrotu, popłynąłem na wyspę i znalazłem go zakopanego w ziemi, głową tylko wystawał, ale już nie żył.

— Margrabia chce podbić zachodnią Słowiańszczyznę dla syna swego Zygfryda — rzekł tajemniczy kneź, a ponieważ nadłabscy zawinili względem niego śmiercią Gotlieba, od nich podbój chce rozpocząć. Sądzę, że powiodą się nasze zamiary, ułożyliśmy cały plan. Zjedzą się sami, pomogę im w tej uczcie, a ty mnie. Will będzie pośrednikiem między mną, a tobą; ty między mną a margrabią i cesarzem.

To rzekłszy zwrócił się do jadącego obok niego z drugiej strony jasnowęlosego chłopca.

— Czy umiesz milczeć, gdy trzeba? — zapytał.

— Umiem — odparł pewnym siebie tonem Will.

Na dziesięć kroków przed nimi ukazała się nędzna chata.

— Zakołataj do niej i powiedz, że twój pan prosi o gościnę — rzekł Ulryk.

Will pośpieszył naprzód; zwyczajem przyjętym u Słowian drzwi chaty nie były zamknięte, mieszkańcy jej nie odmówili przytułku podróżnym.



V.

Ludmir gotował się do podróży, Krak siodłał konia dla ojca, Sawa z pomocą młodszych niewiast sakwę męża chlebem i mięsem wędzonym ładowała, coraz to któreś z dzieci posyłając z jakim rozkazem. Pełno było ruchu i gwaru w chacie władyki, on sam już ubierać się kończył, chciał zaraz popołudniu wyjechać; najmłodszy z rodziny Sokolik pomagał ojcu, a stary z żalem nań spoglądał i pytał siebie: czy ja też wrócę z tej podróży do chaty, by cię wychować; czy nauczę cię z łuku strzelać, konia dosiadać, mieczem władać. Wtem drzwi skrzypaneły i do izby wszedł obcy jakiś człowiek bosy, zgarbiony, z kijem w rękę, w sukni, może niegdyś pięknej, lecz dziś zniszczonej, żebrak z pewnością. Sokolik skoczył po chleb na stole leżący i podał mu go, przybysz ułamał kawałek, poniosł do ust, chłopię pogładził po główce, poczem zwrócił się do Ludmira, obaj wpatrzyli się w siebie uważnie.

— Podobno znaleźmy się kiedyś — przemówił po chwili gość.

Kołczan, w jaki władyka właśnie strzały nakładał, wypadł z jego rąk.

— Kneź Tugomir! — wykrzyknął i pochylił się do kolan mniemanego żebraka.

— Więc i wam udało się ujsć z niewoli! Spocznicie na ławie i dzieje swe opowiedzcie, odłożę podróż do jutra; umyję wam nogi, posilę, napoję, takiego gościa nie spodziewałem się.

Sokolik, który z rozszerzonemi ciekawością oczyma przypatrywał się temu, którego ojciec kneziem nazwał, usłyszawszy te słowa, skoczył do matki z radosną nowiną. Tymczasem przybysz głęboko westchnąwszy, siadł na ławie.

— Ciężkich lat dziesięć przebyłem — rzekł — lecz złe minęło, lepiej je nie wspominać, by wrócić nie zechciało. Dla was dość będzie, gdy powiem: „Jestem wolny,“ za to zwierzę się wam z tego, co czynić zamierzam. Do Broniborza mojego dążę, by zmylić pogoń, tutaj kroki swe skierowałem; wróciwszy do siebie, wezwę mego synowca, który, jak zapewne wiecie, pierwszy uszedł z niewoli i Broniborze Niemcom odebrał. Uzbrowemy się obaj, rozesłemy wici po całej ziemi Słowian i wielką wojnę odwiecznemu naszemu wrogowi wypowiemy. Gero się zbroi, nie tajne to wam pewno, lecz wspólnemi siłami pokonamy go.

— Oby słowa twoje ksiązę wróżbą pomyslną były, pomożemy ci chętnie — odparł poważnie Ludmir — dość tych okrucieństw niemieckich: trzeba

im raz pokazać, że bronić się umiemy. Właśnie do knezia Łęczycan się wybieram, wzywa nas do wspólnej walki z Niemcem, idę mu powiedzieć, że nadłabscy gotowi do niej.

— Nie trudź się daremnie — odparł Tugomir — ja z Mieszkiem się porozumiem.

— Rada kazała mi iść — rzekł Ludmir.

— Zwołaj drugą i przedstaw moje słowa — rzekł kneź. — Władyka się zadumał.

— A nie mógłbyś poczekać Tugomirze na radę? — zapytał — poznałby cię nie jeden, jak ja poznałem; ostatnim razem, pamiętasz, widzieliśmy się na wielkim wiecu, było to coś na rok przed twojem uwięzieniem.

— Pamiętam — odparł ponuro Tugomir. Wspomnienie to widocznie było mu niemiłym, zwiesił głowę na piersi i zamilkł chmurny.

Ludmir przywołał Sawę, oznajmił jej, iż nie jedzie już za Wartę i kazał, jak obyczaj wymagał, uczcić gościa.

Nazajutrz Tugomir odjechał, przybrany w siermięgę władyki i jego kołpak, stary nie mógł znieść na nim poszarpanej odzieży. Sawa była rada, iż kneź wyręczył męża, lękała się dla niego trudów długiej podróży; gdy dnia tego Ludmir powrócił z pola z Krakiem, zastawiła przed nimi sutą wieczerzę i pogodna, jak jeszcze nie była od czasu, gdy Lila porzuciła dom rodziców, dopytywać męża poczęła o dzieje Tugomira. On się rozgadał i czas

im mile uchodził. Wtem poza ścianami chaty rozległy się przeraźliwe krzyki; Krak pierwszy skoczył do drzwi, za nim rodzice, dziedziniec pełen był dzieci, niewiast i czeladzi, twarze wszystkich niepokój wyrażały. Zdawała za wałami widać było gromadę ludzi, pędzącą w popłochu ku dworowi władki: krzyczeli, płakali, jęczeli.

— Niemcy idą, Niemcy — dobiegły nareszcie wyrazy.

Na dziedzińcu kobiety i dzieci jękiem i płaczem odpowiedziały.

Ludmir pośpieszył na most, tłum właśnie tam nadbiegł.

— Niemcy idą, palą, mordują — wołali.

— Gdzie? — spytał władyka.

Mężczyźni, kobiety i dzieci otoczyli go ciasnem kołem, wszyscy razem poczęli opowiadać, zrozumieć ich nie mógł.

— Niechaj jeden opowie — rzekł przeto.

Wystąpił chłopak dorodny.

— My z nad rzeki — odezwał się. — Rankiem gdy wszyscy jeszcze spali w naszej wsi, wpadli do niej Niemcy i palić, rabować, mordować poczęli; kto ucieczką się nie ocalił, ten padł pod ich toporami, lub do niewoli się dostał. Ino patrzeć, jak się tutaj zjawia.

— Zastaną nas przygotowanych — odparł Ludmir. Krak obiegnij na koniu wieś; niechaj wszystko co żyje do mnie się schroni; gdy wrócisz z nimi

most podniesiesz — rzekł do syna. Poczem do żony się zwrócił. — Ty zabierzesz niewiasty i dzieci, pójdziecie do sadu — dodał — tam skryjecie się do lochu, wiesz za drzewami, w nim czekaj na mnie i czuwaj nad powierzonymi ci, jęcząc głośno i wychodzić nie pozwól, sam przyjdę po was, gdy pora będzie.

To rzekłszy, skinął na mężczyzn.

— Chodźcie za mną, broń wam rozdám — rzucił.

Niebawem Krak powrócił, Sawa uprowadziła niewiasty i dzieci, władca wyszedł do mężczyzn. Przybyli zaopatrzyli się w broń rozmaity: rozstawił ich w okół częstokołu, furtę kazał zamknąć, na dachu umieścił czeladź z wiadrami z wodą, aby gasiła padające na strzechę ogniste pociski, poczem z Krakiem zajął miejsce w pośrodku dziedzińca na urządzonem wzniesieniu, by w dal spojrzeć mogli wygodnie. Przysunął się do nich Lechon, oni pałającymi gniewem oczyma wrogów szukali, on wznosił w błękitny wzrok i wzywał dla braci pomocy bogów. Byli gotowi do walki.

Głuchy tętent ziemi ostrzegł wszystkich, że Niemcy idą, zanim Krak z synem ich zobaczyli.

— Psy wściekłe! — gniewnym szeptem obiegiło dziedziniec.

— My bronim swych świątyń, swoich mogił, swojej ziemi i rodzin swoich; ufajmy, że zwyciężym — odezwał się Lechon.

— Ufamy bogom — odparli wszyscy jednym głosem i poczęli łuki naciągać.

Tymczasem nieprzyjaciel ukazał się w dali, Krak skinął na bliżej stojących.

— Pierwsi zajrzymy im w oczy — rzekł — wybiegniemy za furte i pošlemy im kilka pocisków na powitanie.

— Ani się waź — odezwał się Ludmir — walka jest grzechem, my nie zaczepiamy, tylko się bronimy.

Chłopak wstrzymał się lubo niechętnie. Niemcy pędzili z wrzaskiem, z klątwami, Ludmir wśród swoich nakazał ciszę i powagę, słyhać było tylko głos Lechona, który modlił się żarliwie.

Wreszcie Niemcy dopadli do fosy, ta pełną była wody, zatrzymali się przeto; chwilę naradzali się, jakby ją przebyć, słyhać było gwar tysiąca głosów, potem umilkli, rozwinęli jazdę i dwór władyki otoczyli w okół; na dziedziniec wpadło kilka strzał, obleżeni pociskami i obelgami odpowiedzieli.

— Gady nikczemne! jastrzębie krwiożercze — wołali.

— Niedźwiedzie lasami zasłonięte, lisy kryjące się w norach — odpowiedzieli im Niemcy.

Jednocześnie kilku wsunęło się do rowu, chcieli wodę przejść w bród, lecz nogi poczęły im grzęznąć w błocie, więc wrzaskiem pełnym trwogi uderzyli w niebiosa.

— Ropuchy przyjmą was chętnie do siebie —

poczęła wołać z dachu czeladź Ludmira i śmiała się głośno.

Stary rozkazy wydawał, walka zajadła zawrzała; tu i tam padały trupy, kto zwycięży niewiadomem było jeszcze wszakże, fosa dzielnie broniła obleżonych. Lecz Niemcom sprytu nie brakło: kilku pobiegło do wsi, wrócili niebawem z kłodami świeżo ściętymi, przeciągnęli je przez rów i dostali się do częstokołu. Łoskot siekier się rozległ, parkan drżał od ich uderzeń; Ludmir nie tracił jednak odwagi, zachęcał swoich do energicznego działania, walka nie ustawała, Krak z kilku innymi wdarli się na szczyt parkanu i z tej wysokości pałkami odganiaли tych, co obalić go chcieli. Dzień uchodził, bój nie ustawał, na dziedzińcu i na wale dziesiątki trupów leżało.

Nagle tętent kopyt i rżenia rumaków się rozległy.

— Pomoc nadciąga — krzyknął Krak — palcem w dal wskazawszy.

— Komu? — zapytał Ludmir.

Zrazu nie było odpowiedzi, po chwili siedzący na dachach i na szczycie parkanu, wołać poczęli:

— Swoi! swoi!

I na dziedzińcu radość powszechna zapanowała, a po za nimi wśród Niemców popłoch: ucichły topory, strzały lecieć przestały, po chwili ziemia zadudniła, dając znać obleżonym, że najeźdźnicy odbiegli; czeladź skoczyła otworzyć bramę, spuścili

most, zbrojny tłum ze Słowian złożony tłoczył się począł.

— Niech żyje kneź Tugomir! — krzyknął Ludmir.

— Niech żyje kneź Tugomir! — powtórzyli inni.

Przybyły zdjął kołpak z głowy i powiał nim w górze, lecz radości w jego oczach nie było.

— Jak on dziwnie na nas spogląda — szepnął Lechon do Kraka — wzrok jego dreszczem mnie przejmuję.

— Każdy wódz lęk budzi, on naszym wodzem — odparł Krak.

— Dobre wieści wam niosę — odezwał się tymczasem Tugomir — Stojgniew, kneź Obotrytów liczne wojsko zebrał: rozłożył się koło rzeki Raksy i czeka tam Niemców; Lutyce, Redary, Dalemińce są już z nim; my też pójdziemy mu w pomoc. Poprowadzę was nad Rakse, napadniemy margrabię i cesarza, którzy podobno po drugiej stronie rzeki zamierzają obóz rozbić, z brzaskiem słońca do Stojgniewa podążym.

— Bądź nam mile pozdrowiony! — krzyknęli wszyscy.

Młodzież cisnęła się do knezia Broniborza, porwała go z konia i poniosła do izby, Ludmir pośpieszył uwolnić niewiasty, kazał jednym wieczerzę dla gości gotować, drugim rannych pozbierać i zając się nimi; Lechonowi i Krakowi polecił, by z pomocą czeladzi przygotowali stos i ciała poległych

na nim złożyli. Po wspaniałym pogrzebie zasiedli mężczyźni do uczy, Tugomir opowiadał o okrucieństwach margrabi Gero, że własną ręką starców zabija, iż dzieci wrzuca w płonące chaty ojców. Słuchali go z oburzeniem, z zaciśniętymi zębami, ale gdy potem powiedział im, że Stojgniew zapłacił już kilkakrotnie Niemcom ich czyny, że wprowadził ich raz w bagna i musieli prosić o pokój, że w taką gąszcz zapędził ich pewnego dnia, iż całą dobę drogi odnaleźć nie mogli, że innym razem goniony przez nich wskoczył ze swoimi do jeziora i ukrył się pod wodą a oni dalej polecili i nie znalazłszy, w dobrej wierze rozgłosili, iż ziemia rozstała się pod Słowianami; to słuchając tych pomyślnych o swoich wieści, biesiadujący rozpogodzili czoła i pili miód na cześć mężnego Stojgniewa.

Ucieszyła też wszystkich wiadomość przywieziona przez Tugomira, że właśnie rozdzielają Niemców, iż dwóch hrabiów Egbert i Wichman wygnani z kraju przez księcia saskiego Hermana złączyli się ze Stojgniewem, że wódz Słowian wie od nich, iż cesarz lada dzień ma przybyć nad Rakę.

— Sądzę, iż Niemców już tam zastaniemy — mówił kneź Broniborzan — Stojgniew rad nam będzie.

Podnieceni miodem i dobrymi wieściami zebrani koło stołów coraz głośniejsze się zachowywali, nawet Ludmira opuściła zwykłą powagę, jeden Lechon siedział posepny.

— Milczysz, jak mogła — rzekł do niego Krak — zaśpiewaj nam pieśń do boju.

— Pieśń byłaby posępna, nie chcę klócić waszego wesela — odparł cicho Lechon.

— Czyż złe masz przecucia?

— Ciemno mi w duszy, łzawo mi w sercu, trupy widzę koło siebie, trupy i krew, jęki słyszę koło siebie, jęki i przekleństwa.

Głos pieśniarza wzbił się teraz nad inne.

— Napatrzałeś się dzisiaj krwi, to ci w oczach stoi — odezwał się Ludmir.

— I napatrzysz się jej jutro — dorzucił Tugomir — w którego oczach świecił niepokój.

Jednym z dzielniejszych książąt słowiańskich w owych czasach był Stojgniew, władca Obotrytów: zniecierpliwiony ustawicznymi na braci napadami okrutnego Gero, zebrał on liczne hufce zbrojne, niczem nie przypominające zwykłych kup bezładnych słowiańskich, prawie nieuzbrojonych i wypowiedział Niemcom wojnę. Podzielił swoje wojsko na działy, każdy z walczących miał miecz u boku, oszczep w rękę, tarczę z kory lipowej do osłony piersi. Rozbiwszy obóz w pobliżu Raksy, czekał cierpliwie nieprzyjaciela i przybycia swoich, liczył bowiem, że siły jego jeszcze się zwiększą; rozpalone ogniste wici na całej ziemi słowiańskiej, rozpały coraz szerzej płomień powstania na niej; przybyli nad Rakę Mazowianie, Morawianie, Kujawianie, olbrzymia siła się tam tworzyła. Każdy mir, czyli każdy

oddział miał swojego wodza i leżał osobno koło własnego ogniska, obok którego powiewała na wysokiej żerdzi w ziemi zatkniętej jego chorągiew. Chorągwie były różnej barwy, lecz na każdej wyobrażoną była głowa smocza. Słowianie byli pełni otuchy, liczba ich wzrastała z dniem każdym, a przybywający przynosili wieści, że i potężny kneź Polan i Łęczycan zbroi się przeciw Niemcom.

Otto i Gero czuli, że tej potęgi, którą miłość własnej ziemi i zemsta za własne krzywdy stworzyły i zagrzewać będą do boju, mieczem samym nie pokonają, to też zanim przybyli nad Raksę, długo radzili jakiej siły przeciw niej użyć, jakiej pomocy przeciw niej wezwać. Zwykle uciekali się do zdrady, przekupywali nędznych obietnicami, lub groźbą do posłuszeństwa sobie zmuszali i szły jedne plemiona słowiańskie na drugie i bracia braci ujarzmiali, lecz teraz Słowianie zgodę sobie zaprzysięgli, wycieczka Ulryka i Gotlieba nie powiodła się, była obawa kto zwycięży tym razem. Wyruszył jednakże w końcu cesarz nad Raksę i rozbił nad nią obóz, lecz jeszcze nie zaczepia nieprzyjaciela, jeszcze czeka, na co? Nikt zgadnąć w jego obozie nie umie, Niemcy się dziwią swemu panu.

Była to noc, w białym namiocie swoim dumiał posepnie potężny Otto I., obok niego margrabia, obaj cali w stal byli okuci, miecze mieli u pasa. Księżyc trupio-błądą twarzą swoją wsunął pod rozchylone płótna, chciał wyczytać myśli zadumanych,

ale zląkł się ich widocznie, bo skrył się zaraz za chmurę.

— Więc gdy stanąłeś nad rzeką i wezwałeś go do zgody, to urągowiskiem ci odpowiedział? — odezwał się zniżonym głosem cesarz.

— Tak panie — odparł margrabia — wezwałem go, by przeszedł rzekę, by waleczność jego rycerstwa pokazała się w czystym polu, na to mi odparł: „Przejdźcie wy, Słowianin nie zaczepia, lecz czeka, ale wam strach naszej liczby“.

— Gadzina — szepnął Otto.

— Utniemy łeb tej gadzinie — mruknął Gero.

— Pewny jesteś naszego sprzymierzeńca? Oni dziś wszyscy zgodą zarażeni, może i on ulegnie.

— Za hojną nagrodę ma obiecaną, za długo był w niewoli.

— A jednak się lękam.

Umilkli obaj i znowu patrzali ponuro przed siebie; czerwone ogniska, świecące na najdalszym krańcu równiny, na jakiej stał obóz, dreszczem ich przejmowały.

Wtem jakaś postać wysunęła się z za gęstych krzewów, rosnących w około obozu niemieckiego i krokiem szybkim ku namiotowi cesarza kierować się poczęła.

— Hasło? — zapytała straż.

— Gott sei Dank! — odparł wędrowiec.

Straż puściła go swobodnie, on dotarł do na-

miotu, z ust Ottona i Gero wyrwało się cichym okrzykiem:

— Ulryk!

Przybysz zgiął się do ziemi.

— I cóż? — zapytali oba, bardziej jeszcze niż zniżonym głosem.

Ulryk podszedł do nich.

— Zanim dzień wstanie cesarz i margrabia przepłyną Rakę i uderzą na Stojgniewa — rzekł — sprzymierzeniec wasz, kazał wam powiedzieć, iż rozkazy mu dane spełni co do joty.

— Psy zjedzą się wzajemnie — mruknął Gero — poczem rozśmiał się gardłem całym, a w uśmiechu jego piekło dźwięczało, posępne brózy znikły mu z czoła, oczy ponurym blaskiem zaświeciły. — Zaiste genialny miałem pomysł — dodał — rzeź krwawą będzie, a już wątpić poczynalem w zwycięstwo.

— Za głośno radość swoją objawiasz margrabio — odezwał się Otto — czyż nie wiesz, iż złośliwe duchy czyhają zawsze na cudze szczęście... Lecz dość rozmowy, działać trzeba, pobudzić rycerstwo, tylko niechaj cicho wstają, ognisk nie rozpałać, niechaj dosiędą konie, a gdy szarżę zacznie, pójdziemy ku rzece.

— Po co dnia czekać? księżyc jasno świeci — odparł Gero.

— Słuszna uwaga — rzekł Otto.

Margrabia i Ulryk kocimi krokami wsunęli się pomiędzy namioty; niedługo potem hufce niemieckie

milezkiem sunęły ku obozowi Stojgniewa: każdy z rycerzy żelazną koszulę miał na sobie i takiż hełm na głowie, piersi ich zasłaniały tarcze kruszczowe, u boku mieli miecze, w rękach szczepy; lecz nad Słowianami czuwał troskliwy, jak ojciec wódz... Nie spał Stojgniew, usłyszał głuchy jęk ziemi, porwał się z postania.

— Na koń! do broni! — zawołał.

— Bij! zabij! — wrzasnęli Niemcy w odpowiedzi.

Plusnęła rzeka, już w nią wskoczyli, woda sięga głów koni, prują fale, przebyli rzekę szczęśliwie, śmiechem przeciwny brzeg powitali; strzały Kujawian, Mazowszan, Obotrytów naprzeciw nich wybiegły, napieli łuki, walka zacięta zawrzała. Choć zbroi nie mają na sobie, Słowianie nacierają jednak śmiało: ich taka moc, ich sprawa słuszna... kłują wroga oszczepami, wałą pałkami, na dalej stojących strzały mają. Niemcy się zlekli; jeszcze nigdy ci wzgardzeni przez nich z taką śmiałością i z takim porządkiem nie nacierali, wódz młody dzielny ich wiedzie, bohaterstwo świeci mu z oczu, Niemcy cofać się poczynają, to zdwaja otuchę w sercach Słowian, tem śmieiej pędzą naprzód...

Lecz cóż to? znowu ziemia tętni, świeże zastępy przybywają. Stojgniew słuchem łowi echo.

— Ktoś ku nam dąży! — krzyknął — chwala Światowidowi! teraz wroga wepchniemy napewno do rzeki.

Ziemia huczy coraz głośniejsz, księżyc skrył się za chmurę, nie widać walczących, ni tych, którzy nadciągają, lecz Stojgniew nie wątpi, że to swoi: gdyby Niemcom szła pomoc, zbroje ich zdaleka by dzwoniły i nie od tej strony lecieliby... Pędzą, już przypadli.

— Łado! Łado! — krzyknęli.

A więc się nie omylił.

Lecz cóżto?.. Strzały przybywających godzą w jego rycerzy, pałki miażdżą głowy jego wojaków.

— Bratobójcy! — krzyknął rozżalonym głosem — czyż zawsze zdrada swoich gubić nas będzie.

— Omamili nas — ktoś mu jękiem odpowiedział wśród napastników — lecz on tych słów nie słyszał, tak jak nie słyszał nikt prócz jednego jego wykrzyknika i odpowiedzi mu danej.

Lecą strzały zprzodu, lecą ztyłu na wojsko Stojgniewa; jak lew raniony, rzucił się dzielny wódz na wroga, hufcom swym podzielić się kazał, jedni walczą z Niemcami, drudzy z nieznanym nieprzyjacielem; walka wre dalej, lecz coraz słabiej, koniec jej blizki, teraz Niemce górá, wzięci w dwa ognie Słowianie ducha stracili...

Dzień zaświtał nareszcie, tysiące trupów zaściewało pole walki, cesarz i Gero odwołali swoje hufce, już nie ma z kim walczyć, jedni leżą pobici, drudzy w niewoli, garstka tylko uchodzi, Bóg z nią...

Margrabia legł spocząć we własnym namiocie i kazał Ulryka do siebie przywołać.

— Niechaj służba obozowa pochowa naszych poległych i rannych zbierze — rzekł — ty przyslij mi Tugomira.

Tugomir zjawił się niebawem, wszedł zgięty.

— Spełnione wasze życzenia — rzekł chyląc się z pokłonem.

Gero lekceważąco nań popatrzał.

— A synowiec twój gdzie? — zapytał — miałś mi zbiega w ręce wydać.

— Poległ w tym boju — odparł Tugomir — trupa mogę przysłać.

— Oddaj go wilkom na pożarcie — mruknął Gero — poczem znowu twarz przybrał w uśmiech wzgardliwy.

— Czekasz na zapłatę za sprzedanych mi braci? — zapytał.

Krew uderzyła do twarzy zdrajcy, oczy gniewem strzeliły, ale się pohamował.

— Odzyskałem Broniborze, więcej nie pragnę — rzekł.

— Broniborze nam oddasz, nie dowierzam ci; dziś swoich zdradziłeś, jutro nas mógłbyś zdradzić — rzekł Gero — jeden gród w ręku Słowian na ziemi słowiańskiej nie zostanie; dam ci ziemię wśród nas, wśród Giermanów gniazdo sobie uścielesz.

Nie był rad z tej odpowiedzi Tugomir, lecz oporu nie śmiał stawiać, pochylił się na znak zgody.

— Czy dużo mamy jeńców? — zapytał Gero.

— Około siedmiuset — odparł Tugomir — jest podobno pomiędzy nimi młody pieśniarz, tego chciałem cię prosić panie, byś mnie podarował.

— Tego ja mam zamiar sobie zatrzymać — rzekł margrabia — przyślij mi pieśniarza i syna mego Zygfryda; ty z jeńcami do Merseburga pojedziesz, tam czekać będziesz rozporządzenia naszego.

— Czy nie mógłby kto inny zlecenia twego panie spełnić, mam ważną jeszcze sprawę do załatwienia.

— Załatwisz ją później. Chcę mieć to zadowolenie, aby Słowianin prowadził do niemieckiej niewoli Słowian.

Tugomira wargi zadrżały z gniewu, spuścił jednak oczy i nie rzekł — wszakże dobrowolnie zaprzedał swoją duszę Niemcom, ulegać musiał. Odchodził już, gdy Gero przywołał go napowrót.

— Nie ufam ci — rzekł — przywołaj do mnie Ulryka, możesz sprawę swoją załatwić, potem zgłoś się po nagrodę.

Zdrajca oddalił się.

— Tak lepiej będzie — szepnął przez zaciśnięte zęby margrabia — krwawszy będzie mój tryumf.

Niebawem wszedł do jego namiotu Zygfryd, a z nim Lechon. Gero zwrócił się do syna.

— Tego jeńca powiesz w darze swej żonie odemnie — rzekł — powiesz Hajucie, że to pieś-

niarz; niechaj go głaszcze, a będzie jej śpiewał; to podle plemię nawet w niewoli nuci.

Błada twarz jeńca zabarwiła się różowo, oczy jego pociemniały jak szafiry: Gero, by go zranić, mówił po czesku, on tę mowę rozumiał.

— To plemię nawet w niewoli nie szemrze na bogów, lecz chwali ich moc — rzekł z godnością. Bogowie, gdy karzą, karzą sprawiedliwie; bogowie, gdy zsyłają cierpienia, zsyłają je dla dobra naszego.

Gero popatrzał ciekawie na mówiącego, lecz nic mu nie odpowiedział, zwrócił się znowu do syna.

— Zabierzesz swój hufiec, dziś jeszcze pośpieszysz do domu — rzekł — ja z cesarzem i jego hufcami jadę do Merseburga; nową wyprawę obmyśleć mamy: kneź Łęczycan jeszcze nie ukarany, mieni się naszym hołdownikiem, a wieści chodzą, że podnieca Słowian do wojny z nami.

W godzinę potem tam, gdzie dnia poprzedniego białeły namioty Niemców, pusto było; zabrawszy rannych, umarłych pogrzebawszy, zwycięzcy odeszli, zostali tylko polegli Słowianie. Słońce coraz jaśniej i szerzej świeciło, odegrany przy blasku księżycy krwawy dramat, ukazał się w całej swej grozie. Ranni budzić się poczęli z omdlenia: jakiś starzec siwo-brody dźwignął się na pół, to Ludmir; obejrzał się posępnym wzrokiem po krwawem polu, jeszcze nie rozumie, co to było. Czyżby naprawdę braci głosy postyszał wśród tych, na jakich uderzyć mu kazał Tugomir. Czyż człowiek, najwięcej umi-

łowany ze wszystkich stworzeń przez bogów, zdolny byłby do takiej podłości? Rana, jaką ma w piersi świadczy jednak, iż walczył z braćmi: strzała sło-wiańska w niej tkwi, o jak to trudno uwierzyć w grzech tych, których kochamy, o jak to boli. Starzec powstał, przetaił dłonią czoło, odgania ciężkie myśli, ale strzała jedno powtarza: „Walczyłeś z braćmi“. Podniósł wzrok i dłonie ku niebiosom.

— Bogowie wielcy potężni ukarście zbrodnia-rzy! — krzyknął — przekleństwo! przekleństwo im!

Teraz iść począł przez krwawe pole, śpiącymi snem wiecznym zasłane wolno, z odłamkiem strzały w piersiach, a blade jego usta szeptały ciągle.

— Przekleństwo! Przekleństwo!

A wzniesione dłonie w górę gromy bogów zda-wały się wzywać. Tak doszedł do Raksy; za nią już głucho, wrogów niema, wpośród pustego pola sterczy tylko żerdź wysoka, na niej głowa ludzka zatknięta, a wokół żerdzi siedmset ciał leży wień-cem strasznym.

Ludmir skamieniał, patrzy, nie wierzy, potem okrzyk bólu wściekłego wydarł się z jego ust.

— To Stojgniew, to bracia moi! przekleństwo, przekleństwo!

Ból wrócił mu siły, wskoczył do wody przepły-nął rzekę i począł obchodzić pomordowanych; sam kwiat, sama młodzież leżała; piekielną zemstę obmy-slił Gero. Głuche szlochanie wydarło się z duszy starca, ręce jego opadły, już nie przeklinał, już nie

miał siły do gniewu, płakał tylko nad synami wspólnej matki wszystkich Słowian. Leżą cisi, każdy z mieczem w sercu, twarzą ku niebu zwrócony, a nad nimi głowa ich wodza Stojgniewa, wszystkich jeńców wymordował Gero. Ludmir obchodzi wszystkich i płacze nad każdym: tu Woję zobaczył, tam Sławuna, dalej władków sąsiednich, niemal każdego po imieniu nazwać może; wtem kolana jego zdrząły, padł na ziemię.

— Krak! — jęknął.

Teraz sam leży cichy, jak syn jego, blady jak jego pierworodny, ale w górze kruki zakrakały i zbudziły go, dźwignął się, ręce wznosił w górę, zatrzęsł nimi.

— Niewidzialny a potężny, tajemniczy i sprawiedliwy Panie, ukarż zbrodniarzy! Przekleństwo! przekleństwo im! — krzyknął Ludmir strasznym głosem — i znowu isć począł, jak lunatyk, wprost przed siebie. Za Wartę, za Wartę — szeptały jego usta.

* * *

Lila oswoiła się powoli z potworną postawą bożka, przywykła do nowego życia, przestała tęsknić za domem; dochodziły wieści do chramu o przygotowaniach zbrojnych Stojgniewa, o tem, jak cała Słowiańszczyzna łączy się pod jego rozkazami; dziewczę pewne było, że ów Bóg, od którego zrazu spojrzenie odwracała, to wszystko sprawił, że przyjął

ofiare jej serca i coraz gorliwiej mu służyła. Kapłani ją lubili, bo nigdy święty ogień tak jasno nie świecił, jak wtedy, gdy Lila czuwała nad nim, bo cichą, pokorną i posłuszną była. Dziewczę zjednało sobie powoli najgorzej dla niej usposobionych, nawet Węda przestała jej dokuczać.

Właśnie z nią razem Lila czuwała przy ołtarzu, północ się zbliżała, wyczekiwały kapłanek, które je miały zastąpić, kroki dały się słyszeć, weszła jedna. Była czegoś bladą niezwykle i wzrok miała wystraszony.

— Co tobie? — spytała ją Lila.

Dziewczyna pochyliła się ku niej.

— Straszno mi — szepnęła — gdzie spojrzeć wszędzie na naszej ziemi palą się ogniste wici, ognie te mówią: „Wojna! wojna“.

— Alboż nie wiem, że bracia nasi biją się z wrogami naszej ziemi, a modły nasze i ofiary wspierają ich w walce — rzekła Lila.

— Wojna ku nam się zbliża, gdy szłam przez dziedziniec, słyszałam tętent; bój toczy się gdzieś blisko, lub toczyć będzie.

— Rannych nam przyniosą, weselej będzie — odezwała się Węda.

— Jeśli Niemcy zwyciężą, to na nas może napadną — ozwała się Lila.

— Najgorsze złe wolę, od tej martwej ciszy, w jakiej trzecie lato żyję — mruknęła Węda — i chram opuściła.

Przybyła zajęła jej miejsce, Lila czekała na drugą zastępczynię; milcząc dorzucały drwa do ognia. Nagle poza chramem rozległy się krzyki i jęki.

— Uciekajcie! wrogi pędzą ku nam! — zabrzmiało echem trwogi.

Kapłanka, która Wędę zastąpiła, w jednej chwili znikła za bocznymi drzwiami chramu; Lila już uczyniła krok, by iść za nią, lecz naraz zatrzymała się.

— Ogień zgaśnie, bogi opuszczą braci — szepnęła — siadła na swoim miejscu i dalej płomień podniecała; zgiełk wzrastał się za chramem, ona wpatrzona w potworny posąg szeptała:

— Zmiłuj się Światowidzie nad moimi braćmi, daj im zwycięstwo.

Słyszała rzenie koni, klątwy mężczyzn, jęki i płacze niewiast, słyszała szcęk broni, nie wstawała jednak; coraz pilniej dorzucała drwa do ognia, coraz gorętszym blaskiem świeciły oczy boga. Naraz drzwi chramu skrzypnęły, ktoś wszedł, może pomocnica. Ktoś zbliżył się ku niej i dwie ciężkie ręce spoczęły na jej ramionach, a potem objęły ją, uczuła zimne żelazo ją dotykające, szarpnęła się, chciała się wyrwać z tych ramion twardych, ale było już zapóźno, porwały ją w górę i ze świątyni uniosły, ze zgrozy nawet zawołać o pomoc nie umiała. I próżne byłoby jej wołanie: gdy napastnik wybiegł z nią ze świątyni na dziedziniec, ujrzała

tam pełno trupów, kapłani i kapłanki leżeli na ziemi pomordowani, a wśród nich stali zbrojni ludzie. Na ten widok zemdląca i nie widząca, jak ten, który ją porwał, wskoczył na konia, jak ją umieścił przed sobą, nie słyszała, jak krzyknął:

— Za mną bracia! do zamku margrabi Gero, za tę dziewczynę hojną nagrodę dostanę.

Zahuczały kopyta końskie, zbrojna drużyna ruszyła w drogę, a gdy uchodzili ze świątyni Światowida, podniósł się ognisty słup ku czarnym sklepieniom nieba i rozlał się na nich krwawą łuną...

* * *

W warownym zamku teścia swego w obszernej komnacie, której ściany zdobiły kosztowne materye, w bogato rzeźbionym krześle siedziała Hajuta w jedwabnej obcisłej sukni, ujętej pasem srebrnym, ze złotą przepaską na czole; księżna wyszywała złotemi nićmi w krosnach krzyż, godło swej wiary, a złote nici perłami zasiewała... Opodal niej, na niskim taborecie widać było młodzieńca o płowych włosach, oczach niebieskich, w błękitnej szacie srebrną taśmą oszytej, o twarzy bladej i smutnej bardzo. Był to Lechon, przebrany za giermka, u stóp jego lira leżała.

— Zagraj i zaśpiewaj mi co Lechonie, chociażby co o bogach swoich — rzekła łagodnie do niego synowa margrabi.

— Nie żądaj dzisiaj pani pieśni odemnie, bo dusza moja pełna niepokoju — odparł cicho młody pieśniarz — gdym smutny śpiewać mogę, gdym niespokojny, pieśni dobyć nie potrafię... Serce me czuje, że komuś znowu krzywda się dzieje.

— Pomódl się, a spokój ci wróci — odparła Hajuta.

Lechon westchnął.

— Straciłem wiarę w moc moich bogów, cudzych nie nauczyłem się czeić — rzekł posepnie.

Pełne słodyczy wejrzenie żony Zygfyryda spocezło na nim.

— Gdybyś poznał naszego Boga, przylgnąłbyś całym sercem do niego — szepnęła. — On dobrych kocha.

Lechon spuścił oczy, na czole jego zmarszczka się ukazała.

— Nawet nie lubisz, gdy mówić zaczynam o moim Bogu — dodała z wymówką Hajuta. — Wy Słowianie sądzicie, że Bóg nasz jest przyczyną waszych nieszczęść... Nie Lechonie: przyczyną ich są źli ludzie i wasz upór... Gdybyście raz w prawdziwego Boga uwierzyli, gdybyście zgięli przed nim kolana, on by was bronił, a moi, Niemcy — dodała ciszej — nie mieliby powodu na was napadać... Mnie bardzo boli, że moi idą z mieczem przeciw wam...

Dwie łzy ciche potoczyły się przy tych słowach

po jej białej twarzy i spadły na złoty krzyż, jaki haftowała. Lechon uczuł, że serce mu drgnęło.

— A czemuż twoi chcą nam koniecznie bogi nasze wydrzeć i swoją wiarę nam narzucić? — zapytał łagodnie — nam dobrze było z naszymi bogami, nasi ojcowie ich czcili i my czcić pragniemy.

— Niema mędrszej i piękniejszej wiary nad tę, której godłem krzyż, w niej prawda jedynie, więc moi chcą tę wiarę rozkrzewić na całej ziemi — odparła Hajuta. — Zle czynią wszakże, iż orężem ją rozszerzają... ten, który ją nam dał, słowem i przykładem ją szerzył i innym tak czynić też kazał.

Umilkła, Lechon zadumanym wzrokiem patrzył w wązkie i długie okna komnaty, których szyby malowane żółtą farbą złotawe światło wpuszczały do wnętrza; Hajuta pilnie haftowała. Wtem wbiegło młode dziewczę, w białej sukni ze złotą przepaską w ciemnych włosach, które bogatym płaszczem ją osłaniały, z pękiem białych lilii w ręku.

— Czy mogę siostrze zanieść te kwiaty do kaplicy zamkowej? — spytała. — Chcę ołtarz Maryi nimi ustroić.

— Ustrój a potem wróć Hermino, zaśpiewamy na cześć Maryi modlitwę — odparła Hajuta. — Tęskno mi czegoś, modlitwa tęsknotę ukoi. Czy wiesz, że Zygfyrd na nową wyprawę się wybiera; za dni kilka ma do ojca pośpieszyć.

— Wiem, znowu niejeden dzielny rycerz polegnie.

To rzekłszy Hermina oddaliła się. Niebawem wróciła, siadła u nóg siostry i głosem czystym śpiewać poczęła.

„Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna“.

Hajuta jej wtórowała, Lechon słuchał uważnie, słów nie rozumiał, bo śpiewały po niemiecku, lecz nutę chwycił.

— Przełoż pani na zrozumiałą dla mnie mowę tę pieśń — zwrócił się po chwili do księżnej.

Hajuta skinęła na siostrę i sama teraz śpiewać poczęła „Modlitwę pańską“, którą nie bez powodu przetłomaczyła na język czeski.

„Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, Przyjdź królestwo Twoje“ zabrzmiało uroczyście w komnacie.

Lechon słuchał pilniej jeszcze, oczy jego stawały się coraz bardziej rozmarzone, nuta i słowa wzruszały go, nareszcie począł wtórować księżnej.

„Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi — wyrzekł głosem wzruszonym, myśląc o tajemniczym i niewidzialnym Bogu, którego czcili Słowianie, prócz innych licznych bóstw. Komnata niewieścia w świątynię się przeistoczyła, poganin i chrześcianki modlili się razem do Pana Wszechrzeczy.

Nagle lira wypadła z rąk Lechona.

— Czy słyszysz pani? — zapytał drżącym głosem.

— Słyszę tętent, ktoś przybył do zamku — odparła Hajuta.

— Zygryd na łowy z panami się wybrał, może zaniechali zamiaru i wracają — dodała Hermina — pójdę się dowiedzieć.

Lecz nie zdążyła podnieść się jeszcze, gdy drzwi komnaty rozwarły się i na progu stanął jeden z dworzan.

— Kneź Tugomir, sprzymierzeniec margrabi, prosi, by mógł swoją cześć złożyć dostojnej synowej potężnego Gero — rzekł.

— Zdrajca — syknął Lechon.

Hajuta nierada była widocznie tym odwiedzinom, lecz odmową bała się obrazić margrabię.

— Niechaj wejdzie — rzekła.

— Pozwól mi pani oddalić się stąd — rzekł Lechon i usunął się. Do komnaty wszedł zapowiedziany.

— Dzięki ci księżno, iż pozwoliłaś mi przyjść — odezwał się niski ukłon składając — z dalekich stron dar przywiozłem dla ciebie pani; pragnąłem go sam oddać.

— Cóż to za dar? — spytała Hajuta.

— Słowiańskie dziewczę — odparł — kapłanka, którą porwałem z przed ołtarza.

Hajuta popatrzała na niego z pogardą.

— Więc to twoja siostra Tugomirze, boś i ty Słowianin — odezwała się po chwili.

Kneź Broniborzan sposepniał.

— Jeśli ci dar ten nie miły księżno, zabiorę ją z sobą — rzekł.

— Przyrowadź ją tutaj — odparła wyniośle Hajuta.

Tugomir pośpieszył spełnić rozkaz, niebawem powrócił z branką.

— Dumne to i harde, bądź surową dla niej pani — rzekł, popychając dziewczę naprzód.

Dumnie patrzała w istocie Lila na Hajutę i stojącą za nią Herminę, lecz im obydwom dziewczę się podobało; w oczach ich malowało się tylko współczucie dla nieszczęśliwej.

— Szlachetna duma jest cechą zacnego charakteru — odparła Hajuta i zbliżyła się do Lili. Nie lękaj się mnie dziecko — dodała — surową bywam tylko dla występnych; twe spojrzenie czyste, grzechu w nim nie widzę.

Lila usunęła się do jej nóg.

— O pani! powiedz temu straszному człowiekowi, by oddalił się stąd — szepnęła.

— Dziękuję wam za dar Tugomirze, Zygfryd cię nagrodi, odejdz już — rzekła Hajuta.

Kneź Broniborzan skłonił się jej pokornie, potem rzucił szydercze wejrzenie Lili.

— Nie rachuj na litość w tym domu — rzekł — wiedz, iż w zamku margrabi Gero jesteś.

Z ust Lili mimowoli krzyk się wydarł.

— Bogowie miejcie litość nademną — szepnęła i twarz ukryła w dłoniach.

Hajuta ujęła ją za rękę i do swego krzesła powiodła, tam kazała jej usiąść u nóg swoich.

— Już go niema — rzekła chyląc się do wyłękłej — mnie się nie obawiaj.

Lila podniosła na nią wzrok niepewny, spojrzenie, jakie spotkała, uspokoiło ją.

— Nie dziw mi się pani, iż patrzeć na niego nie mogę — rzekła — on sprawcą niedoli moich ojców i braci moich. Ślubowałam bogom, zostałam kapłanką ognia świętego, by sprzyjali braciom moim i bogowie otoczyli nas łaską. Lecz ten zdrajca ściągnął ich gniew i odwrócili się od nas i nie wiem teraz, czy żyje mój ojciec rodzony, czy żyje mój brat, czy chata moja się wznosi jeszcze, czy matka i drobne rodzeństwo mają gdzie głowy przytulić?.. Wróg pomordował podobno jednych, drugich pojmał do niewoli, wsie nasze ogniem i mieczem zniszczył, tak mówił Tugomir.

— Może rozmyślnie, by cię dręczyć, powiedział ci to wszystko — rzekła Hajuta.

Lila podniosła na nią wzrok pełen wdzięczności.

— Słowa twoje słodkie, jak miód — rzekła — oczy dobre, jak Jezusa.

Twarz Hajuty oblał rumieniec.

— Coś rzekła? — spytała głosem wzruszonym — imię Jezusa ci nie obce?

— Pokazał mi jego oblicze starzec, którego, idąc do świątyni, spotkałam w lesie — odparła Lila. Długo stawało ono w mej pamięci i koilo



Hajuta ukazuje Lili krzyż.

tęsknotę serca mego za swemi w milczącej świątyni, z czasem zatarło się, lecz w tej chwili widzę je znowu wyraźnie, twoje oczy pani przypomniały mi je.

Hajuta powstała.

— Jak ci na imię dziewczę? — spytała.

— Lila — odparła — córka Ludmira.

— Niewinna ty, jak lilia, której imię nosisz; chodź za mną, pokażę ci Jezusa.

To mówiąc Hajuta skierowała się do przyległej komnaty. Stało w niej pod jedną ze ścian wielkie łoże, nad niem w złociste ramy ujęty wisiał obraz, przedstawiający Chrystusa, błogosławiącego dzieci.

— To on, to on — krzyknęła Lila, podbiegła do obrazu i uklękła. Jak on słodko spogląda na te maleństwa, o czemu wśród dziatwy go otaczającej niema dla mnie miejsca; wierzę, że spojrzenie jego ukoić może największy ból.

Lzy czyste polały się z jej oczu, łkanie z piersi się wyrwało.

Hajuta objęła ją ramieniem.

— Znajdzie się i dla ciebie miejsce, gdy go pokochasz, gdy poznasz jego naukę — rzekła — obznajmię cię z nią, ona siłą jest naszą, mądrością i cnotą naszą... Jezus z ochotą przyjmie cię do grona swych uczniów, bo on kocha tych, którzy płaczą i tych, którzy znoszą prześladowania niesłusznie; nie możnych świata, nie tych, którzy wybili się nad innych potęgą, bogactwem, sławą, miłuje On, ale

tych, którzy cnotę cicho kochają, którzy znoszą bóle życia cicho, którzy pracują cicho... On sam cierpiał okrutnie, więc umiłował cierpiących; on sam był ubogi, więc kochał ubogich... Spójrz, jak okrutną, sromotną śmiercią kazali mu źli ludzie umrzeć, zniósł ją jednakże bez skargi.

To rzekłszy ujęła Lilę za rękę i zwróciła ją w inną stronę.

— Spójrz tam — dodała, ręką naprzeciw wskazując.

Lila podniosła wzrok i z piersi jej krzyk się wyrwał, ukryła twarz w dłoniach.

— O Światowidzie, przebacz mi grzesznej! — wyjąkała. — Pani to wróg bogów naszych, to miecz, jakim tyle już razy twoi moich pobili.

Naprzeciw niej, nad bogato rzeźbionym klęcznikiem wisiał krzyż wielki czarny, na nim rozpięty był Chrystus.

— Znowu toż samo — szepnęła Hajuta ze szczerym smutkiem w głosie, objęła Lilę ramieniem i pocałowała ją w czoło.

— Nie sądź Go czynami tych, względem których twe serce pełne jest żalu — rzekła tonem prośby. — Wiem, że moi ciężko względem was zawinili, zawinili oni niestety i względem Tego, który skonał na krzyżu, by w serca ludzkie zasiać ziarno miłości bliźniego...

Łkanie przerwało jej słowa.

— Ty płaczesz pani, czego? — spytała Lila, odsłoniwszy twarz.

— Płaczę, bo kocham całym sercem Jezusa i chciałabym, żeby nauka jego jak najszerszej się rozeszła, a źli ludzie utrudniają to — odparła Hajuta, ocierając łzy. — Płaczę, bo wierzę całą duszą, iż tylko w nauce Chrystusa, w miłości bratniej, którą on siał troskliwie, jest zbawienie ludzkości, a widzę, iż źli ludzie gaszą tę miłość; płaczę, bo ty i twój brat nie pójdziecie za głosem moim, a dobra waszego pragnę; płaczę bo źli ludzie cię nastraszyli i odebrali do mnie ufność.

— O nie pani! — zawołała Lila — ja ufam ci; mów do mnie jak najdłużej, bo gdy mówisz, to cichy pokój mnie ogarnia i czuję jak goją się rany mojego serca.. Nie dziw się, żem się zlekła tego krzyża: ojciec mówił mi zawsze, iż wrogi nasze, Niemcy, gdy na nas idą, to krzyż niosą przed sobą. Dlaczego tak czynią, powiedz mi pani?

— Kiedyś powiem ci to, ale nie dziś — rzekła Hajuta.

— Więc powiedz mi pani, o jakim bracie wspomniałaś; może jest w tym zamku więcej takich porwanych, jak ja sióstr moich: może braci spętanych nad Raksą tutaj przywiedli.

— Brata swego zobaczysz zaraz, jednego tylko przywiódł jeńca ze sobą mąż mój.

To rzekłszy Hajuta wyprowadziła Lilę z sypialni i do krosen wróciła.

— Hermino przyprowadź śpiewaka — dodała zwróciwszy się do siostry.

— Dużo złego wyrządzili nasi twoim Lilo, bo dużo jest jeszcze złych na ziemi — mówić znowu poczęła do niewolnicy — lecz Jezus, nauczyciel nas chrześcijan powiedział nam, że od złych nie trzeba się odwracać ze wzgardą, lecz poprawić ich; dużo, dużo złego jest jeszcze na ziemi, lecz jeśli dobrzy iść będą drogą, jaką im Jezus wskazał, złe zniknie powoli z ziemi i dobro tylko na niej kwitnąć będzie.

Wpatrzona w łagodne oblicze księżnej, w jej słowa zasłuchana, Lila nie zauważyła, że ktoś wszedł do pokoju.

— Otóż i on — odezwała się naraz Hajuta i dłoń swą białą położyła na głowie dziewczęciu.

Lila odwróciła głowę, twarz jej oblała się rumieńcem.

— Lechon! — krzyknęła.

I z wyciągniętymi ramionami pobiegła do wchodzącego.

— Lila! — odpowiedział jej równie radosnym okrzykiem wchodzący.

Głowa dziewczęcia spoczęła na ramieniu pieśniarza; łkanie wyrwało się z jej duszy.

Hermina i Hajuta patrzyły na nich zdala wzruszone.

— Niech wypłacze wszystkie swe bóle — mówiła księżna do siostry — łzy ulżą jej sercu.

I ulżyły w istocie, otarła je wreszcie Lila, spojrziała na Lechona, jak gdyby jeszcze nie wierzyła oczom swoim, że on stoi przy niej.

— Kto mi oddał ciebie bracie? — spytała.

— Jezus — odezwała się Hajuta, przystąpiwszy do nich. — On widział twe serce czyste, więc zmiłował się nad tobą — Jezus odda ci jeszcze więcej jeśli ukochasz go całą duszą.

Lila usunęła się do jej nóg.

— Ukocham go, będę czynić co tylko każe, naucz mnie pani pełnić jego wolę — odparła.

— A ja śpiewać teraz będę, gdy zechcesz pani — odezwał się Lechon.

— Zaśpiewaj nam o waszej niedoli — rzekła Hajuta.

Lechon ujął lirę, uderzył w struny, popłynęła nuta rzewna, poczem mówić począł.

— Nad srebrną strugą, wśród łąk zielonych i szumiących pól, wznosiło się kilka lepianek a ci co w nich mieszkali kochali swe bogi i ofiary im składali na ołtarzu, szanowali cienie swych ojców i czcią otaczali ich mogiły, miłowali swą ziemię i pilnie ją uprawiali... I bogi darzyły ich dobrem obficie, wiodło się im we wszystkim, synowie rośli im na pociechę, ziemia darzyła ich plonem obfitym, łąki kwiecica dostarczały, lasy grzybów i owoców, bory zwierzyny, wody ryb, ule miodu... I słońko świeciło im zawsze, bo tak bogi chciały; i ptaki śpiewały im zawsze bo tak bogi kazały; i kwiaty

nie wiedły u nich nigdy, gdy zima jedne zwarzyła, wiosna drugie z woli bogów przynosiła. I twarze starców były tam zawsze pogodne, a młodzi nie znali co łyzy, nie znał tam nikt co to troska, był to lud bardzo szczęśliwy.

Lechon umilkł, podjął lirę, znowu w struny uderzył, tym razem popłynęły tony ponure, jęki i łyzy w nich drżały.

Po chwili odrzucił znowu lirę i dalej począł opowiadać.

— Lecz dnia jednego rozbiegła się smutna wieść, że w lasach sąsiednich pojawił się olbrzym, iż zamierza wszystkie sioła pobliskie, wszystkie łąki, pola zagarnąć dla siebie, a lud wymordować. Zatrwożyli się szczęśliwi i jękiem rozbrzmiały ich pola i łąki. „Nie płaczcie przemówił do nich siwobrody starzec, ojciec wszystkich ojców, miłością bratnią się otoczmy, pierś wroga rozbije się o tę tarczę“.

I podali sobie dłonie i ufni w swą siłę czekali wroga. Przyszedł, rzucił na nich ostre swe groty, lecz miłość bratnia je stępiała...

Odstąpił gniewny, wrócił do lasu, siadł na pniu spróchniałego drzewa i dumął noc całą i dumął dzień cały, a gdy drugi raz księżyc zaświecił, rozśmiał się gardłem całym: — mam na was broń — rzekł: tupnął nogą, ziemia się rozstąpiła i stanął przed nim człowiek nędzny, w łachmanach, zgięty od długiej niewoli, zmęczony długą niedolą, więc słaby. — Dam ci górę złota i reszta dni twych upły-

nie w rozkoszach, ale sprzedaj mi braci twoich — rzekł. Niewolnik jęknął: — Panie nie żądaj tego odemnie — odparł. — Więc wróć do lochu i konaj z głodu — krzyknął olbrzym i wepchnął nieszczęśliwego pod ziemię. I znowu siadł na pniu, teraz nie dumał, tylko czekał; gdy trzecia noc nastąpiła, przywołał znowu niewolnika. Ten stać już nie mógł o własnych siłach i wił się z bólu, głód szarpał jego wnętrzności; olbrzym z pogardą na niego popatrywał. — Dam ci jeść, lecz sprzedaj mi braci twoich — rzekł, a niewolnik jęknął: — Sprzedam ich. — Więc idź do nich i wydrzyj im puklerz, jakim się osłonili — rzekł olbrzym. I poszedł nieszczęsny i skradł braciom miłość bratnią i obey wdarł się do nich, świątynie ich popalił, chaty w gruzy zamienił, dziatwę i starców pomordował, młodych do niewoli uprowadził; wydarł im bogów, których kochali, wydarł im pokój, jakim się cieszyli, biada nieszczęśliwym, przekleństwo wrogom.

— Przekleństwo wrogom! — powtórzyła Lila, przytuliwszy się do Lechona.

Hajuta westchnęła.

— Czy nigdy nam nie przebaczycie? — spytała.

Zamiast odpowiedzi Lechon ujął lirę i szarpnął w struny, fałszywe tony przykro zawdzięczały w sercu księżnej, łzy popłynęły z jej oczu.

— Panie naucz ich przebaczać — szepnęła.



VII.

Była to pora nietoperzy, sów i puszczyków, słońce ich nie lubi, więc gwiazdy przyświecały im tylko i księżyc, którego złoty sierp rysował się na niebie; od lasów okolicznych dolatywało głucho, posępne hukanie, czasami trzepot skrzydeł nietoperzy im zawtórował, pies zawył we wsi, lub bocian zaklekotał w gnieździe, czasami óma przeleciała, zwabiona białymi kwiatami łąk i znowu cicho, głucho, tylko puszczyk huka i sowa mu odpowiada.

Szerokim gościńcem, szedł starzec z brodą śnieżną, z głową okrytą tylko białym włosem, w siermiędze może niegdyś pięknej, lecz dziś pyłem okrytej, wspierał się na kiju i wpatrywał uparcie przed siebie. Tam w dali na tle czarnej nocy widać niewyraźnie olbrzymie dęby, a nad nimi sterczy milcząca, posępna wieża, na niej płonie ognisko. Podróżny w owych czasach tą stroną dążący, witał zawsze ten płomień z wdzięcznością, on mu wskazywał w którą stronę ma się zwrócić, mówił mu:

„Tutaj wznosi się zamek knezia Polan i Łęczycan, tutaj gród jego, jego siedziba,“ a mało komu nie było wiadomem, iż gród ten w pobliżu Warty się wznosi.

Starzec gościńcem dążący, ujrawszy ten znak, przystanął, odetchnął całą pierśią.

— Dzięki wam bogowie — szepnął.

I znowu począł iść wprost, nie zmieniając kierunku drogi, jak gdyby do zamku szedł, nareszcie dotarł do fosy, ta pełną była wody, ani podobna było jej przejść, a cicho i głucho na wałach, straże śpią widocznie. Popatrzał chwilę na fosę, na wał, mrok nocy nic mu rozróżnić nie pozwala. „Do świtu niedaleko, poczekam“ — rzekł i legł nad fosą, na miękkiej murawie i usnął. Zbudził go dopiero klekot bociana, od wsi lecący; wstał, spojrział znowu ku wałom zamek otaczającym, teraz zobaczył na nim ludzi z dzidami w ręku, w żelaznych czółenkach na głowie, przechadzali się miarowym krokiem, była to straż zamku. Starzec obszedł fosę, szukając mostu, chciał dostać się do nich i znalazł go wreszcie, lecz most był podniesiony, więc huknął, co miał sił:

— Czy kneź wasz w domu?

Posłyszeli ochryply jego głos.

— W domu, a czego chcesz? — spytał jeden.

— Ze skargą przyszedłem — odparł stary — z nad Łaby idę, Ludmir moje imię, władzyką jestem.

Słowa te wrażenie sprawiły, wnet dwu pobiegło do knezia, nie szukali go snać długo, gdyż wrócili niebawem, odpięli łańcuchy mostu i spuścili go.

— Kneź na was czeka — rzekli do podróżnego.

Ludmir wszedł wolnym krokiem na most, minął wał, potem dęby u stóp jego rosnące. Teraz ujrzał zamek knezia: drewniany był, wznosił się u stóp kamiennej wieży, na której ze wschodzącym dniem płomień gasł powoli; w oknach zamku szyby były z błony, dach z gontów, z obu stron wznosiły się niższe, drewniane budynki, które otaczały obszerne podwórze. Moc dorodnych, młodych chłopców w jasnych, opiętych sukniach, srebrem bramowanych, z długimi włosami ramion ich sięgającymi, w czapczkach czaplemi, piórami ozdobionych, z mieczykami u pasa, moc pacholków mniej strojnie lecz dostatnio przybranych uwijała się tutaj. Wszyscy byli zajęci: pacholcy jedni konie czyścili, drudzy ciężkimi sakwami wozy ładowali, giermkowie łuki naciągali i strzały nakładali w kołczany, zdawali się na łowy wybierać; obcy zwrócił wszakże ich uwagę, rzucali ku niemu ciekawe spojrzenia. Do dworca książęcego przytykał obszerny ganek, kneź czekał na nim oznajmionego gościa, kilku dworzan go otaczało; zapewne mieli wziąć udział w łowach, gdyż wszyscy uzbrojeni byli. Kneź miał na sobie ciemną suknię, ujętą pasem błyszczącym, nabijanym gwoździami, ręce i szyję obnażone, aby łatwiej mógł nimi władać, za pasem nóż długi, na plecach łuk

i kołczan, na głowie kołpak z piórem czaplim, na nogach skórznie, sznurkami zawiązane, u boku jego wisiał miecz, w bogatej oprawie. Dworzanie podobnie do niego byli przybrani, lecz nie tak bogato.

Ludmir skłonił się z godnością.

— Z nad Raksy idziesz? — spytał go Mieszko groźnie.

— Z nad Raksy — zabrzmiała odpowiedź.

— Bój tam był krwawy?

— Krwawy.

— Braci naszych pobito.

— Pobito. Wy wszystko już wiecie panie — dodał Ludmir.

— Tyleż tylko — odparł Mieszko — powiedźcie więcej.

— Pobiła nas zdrada, nie siła — rzekł Ludmir.

— Kto zdradził?

— Tugomir z Broniborza przyszedł do mnie, powiedział, że uciekł z więzienia Niemców, zachęcił do boju z nimi, stanął na czele i powiodł nas na swoich. Oślepieni nocą napadliśmy z tyłu Stojgniewa; wzięty we dwa ognie popadł w niewolę, razem z nim przeszło siedmset ludzi.

— Odbijemy ich, na bój z Niemcami się wybieram — rzekł kneź.

Ludmir westchnął.

— Zapóźno idziecie — odparł ponuro i opowiedział, że ich widział pomordowanych i w jaki sposób.

Zaświeciły gniewem oczy Mieszka.

— Wściekły pies z tego margrabi — mruknał — wściekłego zabiję bez wahania własnym mieczem, niechaj nam nie szkodzi, niech jadu swego na nas nie ciska. Nie jego, to syna mu ubiję, bogowie pomogą.

— Potom przyszedł tutaj, by chęć zemsty na morderców braci moich w was obudzić — rzekł Ludmir — łaknę ich krwi.

— Krwi! krwi! — powtórzyli za starcem dworzanie Mieszka.

— Krwi niemieckiej — dodał posepnie Ludmir.

— Napijcie się jej do syta, nasycicie serca zemstą, przysięgam na Światowida — odparł kneź Polan. — Wracaj starcze do swoich, a gdzie przechodzić będziesz, wołaj, by bracia twoi rozniecali wici ogniste; niechaj poraz drugi cała Słowiańszczyzna porwie się do boju, tym razem ja was powiodę. Hej koni!

Zatętniały kopyta, giermkowie stanęli u stóp ganku z rumakami. Niebawem liczna zbrojnych drużyna puściła się przez most zwodzony ku gościńcowi, który ciągnął równym szlakiem wśród pól i łąk; wyładowane wozy ciągnęły zwolna za nią, na nich czeladź siedziała. Jednocześnie z poza płotów otaczających lepianki, za polami rozsypane, ukazywać się poczęli kmiecie uzbrojeni w pałki nasiekane, łuki i topory. Ci utworzyli pieszy zastęp,

a gdy orszak książęcy do nich dotarł, złączyli się z nim.

— Krwi! krwi! zemsty! zemsty! leciało pod obłoki i ciągnął zwolna łańcuch ludzi pieszych i konnych i rósł ciągle, a słońce coraz jaśniej im przyświecało i budziło w ich sercach otuchę, że zwyciężą.

Przysłoniwszy oczy dłonią, Ludmir gonił ich wzrokiem, w którym wzruszenie się malowało.

— Bogowie wspierajcie ich, bogowie czuwajcie nad nimi — szepnął kilkakrotnie — poczem zwolna puścił się w drogę. Załoga zamku most podniosła i cicho w nim znowu i głucho; lecz pola i łąki drżą od tupotu kopyt końskich i nóg ludzkich, od wołań zemstą dyszących, Ludmir chwytła te hałasy i szepta: — Bogowie wspierajcie ich — a gdy spotka na swej ścieżce lepiankę, to zatrzymuje się u jej wrót i głosem ponurym mówi:

— Krwi! krwi! zemsty! zemsty! zapalajcie wici, łączcie się z kneziem Polan.

Mieszkańcy chat witają go chlebem, proszą, by spoczął i pytają, co znaczą jego słowa; on im wszystko tłumaczy, posiłek przyjmie, odpocznie, potem rusza dalej; a gdzie przejdzie, tam po jego odejściu zapalają się stosy ogniste iskrami, dymem, łuną, mówią ludziom: „Wojna, zbrojcie się wszyscy.

I zbroili się i gotowali do wielkiej wojny z odwiecznym wrogiem Słowianie i bogów opieki wzy-

wali, bo nikt nie wątpił, że spotkanie krwawem będzie.

Nareszcie dotarł Ludmir nad Łabę, poznał swój las i serce zadrżało mu radością, a zarazem trwogą, co ujrzy poza nim; to też mijał go wolnym krokiem. Las jednak rzednieć począł, ukazały się łąki i moczary, nie się na nich nie zmieniło: skowronki leciały do ukrytych w trawach gniazd, by skrzydłami własnymi otulić swoją dziatwę przed chłodem nadchodzącej nocy; bociany łowiły w moczarach żaby i leciały potem z niemi do piskląt, które radosnym klekotem ojców witały, w strumieniach, do jakich dotarł pluskały wesołe ryby, otucha w serce starca wstąpiła. Niebawem ukazały się oczom jego pola, na nich ule sterczały, jak dawniej; koło uli roje pszczół latało; lecz czarne skiby ziemi skarżyły się, że ich nikt nie zasiał. Trwoga o swoich, o chatę wróciła do serca Ludmira, posłał wzrok pełen niepokoju w dal, nie mógł dopatrzeć ani jednej lepianki; tam gdzie tak niedawno temu wrzało życie, teraz równina martwa się rozciągała; tam skąd za jego pamięci wesołe pieśni leciały zawsze, stamtąd wiała obecnie żałobna cisza.

— Bogowie, czyż litościwsiymi bylibyście dla nędznych zwierząt, niż dla ludzi — szepnął stary.

I począł iść krokiem przyspieszonym; niepokój gnał nieszczęśliwego.

Po chwili ujrzał znajomą sobie fosę, wał a po

za nimi zgliszcza i popioły, jęk bolesny wyrwał się z jego piersi.

— Okrutni bogowie! skowronkowi i bocianowi ocailiście rodzinę, pszczoły i ryby celu życia nie pozbawiliście — rzekł z żalem — a mnie na starość bez gniazda, bez piskląt zostawiliście; odbierzcie mi życie, bo ciężarem jest mi ono, bez dachu własnego, bez jednej istoty, któraby mnie kochała, po cóż mam żyć.

To mówiąc padł na ziemię, przytulił się do niej.

— Matko moja i matko braci moich; daj mi wieczny pokój, tego już tylko pragnę — szepnął złamanym głosem i zamknął oczy. Matko moja, daj mi wieczny mir — powtarzał z jękiem bolesnym, a rana jego, którą czas zagoił, otworzyła się na nowo i krew z niej sączyć się poczęła, plamiąc koszulę na piersiach.

Wtem poruszyły się zwęglone belki jego domostwa i mara jakaś stanęła wśród nich. Była to dziwaczna postać, cała łachmanem owinięta z włosami siwymi rozwianymi w nieładzie, z kijem sękatym w ręku. Wyprostowawszy swą zgarbioną postać, poczęła rozglądać się uważnie dookoła i słuchać, nareszcie westchnęła głośno, coś do siebie zagadała i posunęła się w stronę, z której skargi Ludmira leciały. On jej nie widział, ale ona musiała go spostrzedz, bo wszedłszy na wał, spuściła się z niego do fosy, w której wody nie było obecnie więcej,

jak po kostki starej i wydobywszy się z niej przysiadła, przy jęczącym na ziemi.

— Czego ty wołasz matki ziemi, by cię wiecznym pokojem obdarzyła, kiedy ty jeszcze żyć powinienes? — odezwała się ochryłym głosem.

— Dla kogo? — jęknął Ludmir.

— Dźwignij się, a zobaczysz dla kogo.

Stary podniósł się niechętnie.

— Donia! wykrzyknął — spojrzawszy na okrytą łachmanami kobietę i dodał jak gdyby z żalem. — Więc ty żyjesz, ciebie nie zabili?

— A po co mieli zabijać, albożem nie stara, — odparła z goryczą znachorka Pszczolanki. — Marzanna zabierze mnie wkrótce bez ich pomocy, wiedzą o tem wszyscy. Łuku nie włożę na plecy, nie zaśpiewam pieśni do boju braci zachęcającej, rady nie zwołam, niebezpieczną nie jestem, nie patrzali na mnie, nie widzieli mnie. Człek albo kocha braci swoich, albo nienawidzi, pierwszym dobrze czyni, drugim szkodzi, mnie nikt nie kocha ani nienawidzi, bo za co? Jam dla wszystkich tem, czem kamień przy drodze: leży, bo leży i co z tego komu, ani pożytek, ani szkoda. Tem jestem, czem niepożyteczny grzyb w lesie: rośnie, bo mu rosnać bogi każą, lecz co z niego komu; dobry ominie obojętnie, zły nogą z pogardą potrąci.

To powiedziawszy — westchnęła ciężko i znowu głową wstrząsnęła.

— Taka dola starych, gdy gniazda własnego nie mają — rzekł Ludmir.

— Wstań i chatę postaw nową, będziesz miał gniazdo, w lesie nie brak drzew, topór widzę przy twoim pasie -- rzekła Donia.

— I gniazdo puste mieć będę.

— Mnie starą przytulisz: leczyłam was, zama-
wiałam choroby i nieszczęścia, wróżyłam dolę i nie-
dolę, za to niejeden wiedźmą mnie nazwał. Teraz
ty dobrem za siebie i braci starej zapłacisz.

Ludmir westchnął.

— Zbuduję chatę i Marzanny w niej we dwoje
czekać będziemy — rzekł ponuro.

— Więc pójdiesz do lasu po drzewo? — spy-
tała Donia.

— Jutro, dziś nadtom zmęczony.

— Niechaj jutro będzie, teraz chodź ze mną,
ranę ci opatrzę i pokażę, kto jeszcze w smutnem
twoim gnieździe przytułek znajdzie; gdy Niemcy
wpadli, niejeden uciekł do lasu, tam nas nie szu-
kali, oni lasom naszym nie ufają.

Ludmir powlókł się za starą milczący i oboję-
tny; gdy stanęli pomiędzy zgliszczami, serce jego
znowu żalem wezbrało.

— Nad ptastwem ulitowały się bogi, nie za-
słały piorunu na ich gniazda, nademną litości nie
miały — rzekł z goryczą.

I siadł na gruzach swego domu, ręce koło ko-
lan splótł i zwiesił głowę na piersi. Stara nie oglą-

dając się za nim poszła dalej, Ludmir nie szukał jej też wzrokiem, posępne spojrzenie utkwiał w czarne belki go otaczające; wtem uczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Oto masz towarzysza — rzekła Donia.

Władyka podniósł wzrok, z piersi jego wyrwał się krzyk radości.

— Sokoliczek mój! — zawołał — wyciągnął ramiona, z oczu jego łzy się polały.

Przed nim stało chłopię jego najmilsze, siedmioletek, najmłodszy syn jego. Dziecko z płaczem przytuliło się do jego piersi.

— Kto cię ocalił? Powiedz pociecho moja — spytał Ludmir drżącym głosem.

— Donia — odparł Sokolik.

— Kto cię karmił, strzegł, gdy Niemcy innych w pień wycięli.

— Donia — zabrzmiała odpowiedź.

Stara stała przy nich i śmiała się wesoło, pokazując kilka żółtych odłamków białych niegdyś zębów.

— Donia, zawsze Donia — powtórzył Ludmir, wzrok pełen wdzięczności na nią podniósłszy — a widzisz, żeś ty nie kamień twardy i zimny, nie grzyb niepożyteczny, teraz ja chcę żyć, bo gniazdo me już nie puste, bo życie nie bez celu.

— Więc pieścić twego Sokolika, ja po liście gojące rany pójdę do lasu — odparła znachorka —

potem się posilisz, potem spocznieś, a jutro chatę zaczniesz budować.

— Tydzień nie minie, a będzie gotowa — odparł Ludmir — gładząc głowę syna — potem postrzyżyny odprawimy; toć złote te włosy płaszczem okrywają chłopię, a czas, by tak już na plecy włożył; lecz kto mu będzie śpiewał podczas uroczystości? — dodał ze smutkiem.

— Donia — odparła stara — myślisz może, że nie pamiętam pieśni obrzędowej, że nie wiem, jak się postrzyżyny odbywają? Zaraz ci opowiem. Ty utniesz złote włosy chłopca, ja je zakopię do ziemi, by złe duchy je nie porwały; ty wodą jego głowę obmyjesz i błogosławieństwa bogów wezwiesz na nią, ja go obiegnę w okół i zaśpiewam: „Rośnij silny, jako dąb, świeć swej ziemi jako gwiazda, jako orzeł spadaj na jej wrogów, Łado, czuwaj nad nim“. A jakie imię mu dasz? spytała.

Ludmira oczy zapłonęły posepnie.

— Nazwę go Mściciel, on krzywdy nasze pomści — rzekł.

I przed jesienią jeszcze stanęła na miejscu zgliszcz i popiołów nowa chata; Ludmir uczył syna strzelać z łuku, władać pałką, oszczepem i mieczem, pole orać i zasiewać i miód sycić; stara gotowała im obiad i porządku w domu pilnowała, tak biegło im życie. A tymczasem Pszczolanka powoli zaludniać się poczęła, ten i ów z jej mieszkańców powrócił i opowiedział, jakim sposobem uszedł mie-

cza wroga; zjawiała się i Mila, przyprowadziła z sobą jakąś niewiastę z nad rzeki, która do ich borów schroniła się z dwojgiem dzieci przed najazdem Niemców, biedna oczy wyplakała, więc Mila ulitowała się nad nią. Za przykładem Ludmira córka Sławuna nową chatę postawiła na miejscu spalonej, uleciała wesołość z oczu dziewczyny, bo śmierć poabrała wszystkich jej drogich: zginął jej ojciec nad Raksą, zginął Woja, Jaczo bez wieści przepadł. Nie śpiewała teraz Mila od rana do nocy jak dawniej, nie śmiała się do ludzi, ino czyniła dobrze takim, jak ona nieszczęśliwym.

Zaludniła się powoli Pszczolanka, lecz dawnych niewiele w niej było; ci co ją zamieszkali, obcy wszakże nie byli, ale Słowianie, których miecz wroga z różnych stron powyganiał. Ludmir odprawił postrzyżyny syna i wszystkich na nie zaprosił, boć to wszyscy bracia mówił — lecz uczyty nie wyprawił.

— Gdy wieść dobiegnie, że kneź Polan pobił margrabię Gero, wówczas na ucztę wszystkich zaproszę — rzekł po skończeniu obrzędu religijnego.

Dobiegały z dalszych stron różne wieści, jedna smutek rzuciła w serca mieszkańców Pszczolanki, przyniósł ją gęślarz wędrowny; powiedział, że Gero pogodził się z Wichmanem, owym hrabią niemieckim, który obrażony za wyrok wygnania, na niego rzucony, uciekł do Słowian, że połączyli swe siły

i ruszyli razem przeciw kneziowi Polan, że go spotkali między rzekami Szprewą i Odrą i rozgromili. Mieszko wezwał na pomoc Milczan i Łużyczan, przybył do niego ze swymi hufcami brat jego z nad Pilicy i drugi bój stoczyli; lecz Niemcy odnieśli powtórne zwycięstwo, brat knezia poległ, on cofnąć się musiał, a Niemcy zwycięski swój oręż do samej Odry posunęli, ujarzmili Łużyczan, a króla czeskiego Bolesława groźbą zmusili, iż uderzy na drugiego brata Mieszka, w Chrobacyi mieszkającego, na Cedibora.

Kto miał siły krzepkie, ten po tej wieści opuścił dom, rodzinę i pośpieszył braciom w pomoc. Ogniste wici nie ustawały się palić nad Łabą, nad Wisłą, Dniestrem, Dunajem i przypominały Słowianom ich obowiązki względem wspólnej ich matki ziemi. Ludmir pilnował gniazda, przelał już kilkakrotnie krew w obronie braci i ojczyzny, już nie miał siły do walki; czuł, że o wiele pożyteczniejszym będzie przyszłości, pielęgnując dla niej młodą latorośl swego rodu, którą bogowie ocalili od zagłady, ufał w przyszłość. Po smutnej wieści przyszły lepsze: że Mieszko nie zląkłszy się dwukrotnej porażki, zbiera nowe siły, że kupią się koło niego Słowianie coraz liczniej.

* * *

Ciężki to był dzień dla Hajuty: bała się ona burzy, a od samego rana zbierały się czarne

chmury na niebie, coraz posepniej robiło się na ziemi: jakieś ponure echa dobiegały do okien zamku z różnych stron, czy były to głosy oddalonej burzy, czy walki toczącej się w pobliżu, trudno to było zgadnąć.

Hojuta od kilku miesięcy nie miała już listu od męża i była o niego bardzo niespokojną, niepokój ten zbliżająca się burza podniecała. Widząc stan siostry, Hermina poczęła śpiewać głośno hymn do Boga, Lila jej wtórowała, Lechon grał na lirze. Hajuta blada z wzrokiem pełnym trwogi, utkwionym w czarne niebios sklepienie, rzekła.

— O Boże, Boże, jakże ja się boję, czuję piorun wiszący w powietrzu, grom huczy, słyszę go.

— Módl się pani do Jezusa, a odwróci piorun — odezwała się Lila — wszakże wierzysz w Jego moc, mówiłaś mi, iż Jezus słowem rozhukane bałwany uciszał.

Z Hajuty oczów łzy się potoczyły.

— Niestety dziś nawet modlić się nie mogę — odparła zgnębiona.

Lila spojrzała na nią ze współczuciem.

— Nauczałaś nas czcić i kochać Jezusa, a dziś nie masz odwagi prosić go za swymi? — spytała zdziwiona.

— Tyle razy słyszałam z ust waszych przekleństwa na moich miotane, iż lękam się, czy Bóg mnie wysłucha — rzekła Hajuta — nie przebaczyliście im jeszcze.

— Nie wiem, czy potrafię kiedy im przebaczyć — szepnęła Lila — tyle, tyle zawinili względem nas.

— To dzieli cię od Jezusa; póty dzieckiem cię swoim on nie nazwie, póki nie przebaczysz swym wrogom, jak on przebaczył — rzekła Hermina.

— Niechże więc rzuci w serce moje zapomnienie o ich czynach okrutnych; na cóżby się zdało mówić „przebaczam“ jeśli serce pamięta krzywdy doznane — odparła Lila.

— Ktoś przyjechał, dziedziniec buczy od uderzeń kopyt — odezwał się Lechon.

Hajuta podniosła się śpiesznie i ku oknu podeszła.

— Pełno na nim rycerzy, ale męża nie widzę — rzekła.

— W każdym razie będziesz miała o nim wieści — rzuciła jej pociechę Hermina.

— Są wieści i pomyślne — odezwał się z za progu komnaty głos poważny, po chwili zebrani w niej ujrzeli wchodzącego rycerza. — Margrabia Gero i syn jego Zygfyrd ślą tobie pani pozdrowienia — rzekł niski ukłon składając — kazali mi rzec, iż po drodze zwycięstw idą, że mają stoczyć jeszcze jeden bój, który zgnębi ostatecznie knezia Polan i całą zachodnią, oraz środkową Słowiańszczyznę w ich ręce odda; potem powrócą do domu, margrabia królem Słowian ogłosi syna swego i koronę mu wyjedna u papieża, obali bałwany pogań-

skie, upartych śmiercią ukarze. Jutro najdalej, a dziś może nawet mąż twój pani zjawić się tutaj może, my wolno szliśmy, prowadziliśmy pieszych jeńców, trzeba było się do nich stosować. Margrabia kazał pojmanych umieścić w tutejszych lochach.

— Lechonie i ona chce, byśmy im przebaczyli, a oni gnębią nas ciągle, coraz więcej łez i krwi naszej na ich sumieniu — rzekła Lila ukrywając twarz bladą na ramieniu pieśniarza.

— Przekleństwo wrogom — rzekł Lechon przez zaciśnięte zęby.

Jeszcze nie domówił straszego słowa, gdy za oknami rozległ się głuchy łoskot. Hajuta krzyknęła, blada jak trup schwyła rękę siostry.

— Słyszałaś, on przeklinał, a Bóg piorunem mu odpowiedział, ten piorun to znak Jego gniewu.

— Gdyby się gniewał Bóg na nas, nie sprzyjałby naszemu orężowi — odparł dumnie rycerz — jestem pewien, że kneź Polan korzy się już u nóg margrabi Gero.

— A jednak mnie ciężko na sercu, radosne twe wieści i przepowiednie nie cieszą mnie — odparła Hajuta.

Nowy znak ognisty przeleciał po niebie, księżna ścisnęła rękę siostry.

— Mene, Tekel, Fares czytałam w tej chwili na ckmurach, o biada nam! biada! — jęknęła.

Łoskot głuchy wstrząsnął ścianami zamku, ona usunęła się zemdłona na ręce Herminy.

Lechon i Lila przybiegli z pomocą, rycerz od-
dalił się zmieszany, oni przenieśli nieprzytomną
księżnę do jej sypialni. Po chwili otworzyła wszakże
oczy i wzrokiem poszukała Lili.

— Pójdiesz do lochów do braci twoich, pój-
dziesz tam z Lechonem i Herminą, zaniesiecie im
dobre słowo i posiłek — rzekła słabym głosem. —
Hermino — dodała zwróciwszy się do siostry —
powiedz dozorcey więzienia, iż kazałam zanieść jeń-
com pożywienie i napój chłodzący; zwiedźcie naj-
ciemniejsze kryjówki naszych lochów, nie pomińcie
żadnego nieszczęśliwego.

Gdy mówiła, za oknami rozległ się znowu głu-
chy łoskot.

— Nie będziesz się lękać samą zostać? — za-
pytała księżniczka.

— Myśl, że wy pocieszacie tych, których moi
skrzywdzili, twogę od serca mego odganiać bę-
dzie — odparła Hajuta.

Hermina skinęła na Lilę i Lechona, udali się
do dozorcey więzienia, ten chwilę się wahał, lecz
uległ w końcu; znał moc Hajuty: margrabia kochał
syna nadewszystko, a Zygfryd uwielbiał młodą
żonę; nie posłuchać księżnej rozkazu było może
niebezpieczniej, niż zezwolić na to, by jeńcom ulgę
przynieść.

Zawieszono u ścian lochów płonące kaganki to-
rowały drogę Herminie, Lila i Lechon nieśli za nią
kosz wyładowany żywnością, za nimi jeden ze sług

wielką konwie pełną piwa i srebrny puchar. Niemal w każdej celi spotkali kogoś; wszyscy byli popętani, Hermina sama więzy im porozcinała i podała pożywienie, błogosławili ją ze łzami, lecz gdy Lila i Lechon odezwali się do nich ich mową, smutne ich oczy ożywiły się i zapytali czy i oni są w niewoli, potem opowiadali o stoczonych potyczkach.

— Za zdradę Tugomira jeszcze nas bogi karzą, bo klęskę za klęską ponosimy — rzekł jeden.

— Czy kneź Broniborzan walczy zawsze po stronie Niemców? — zapytał go Lechon.

— Zginał w ostatniej potyczce — odparł jeniec.

— Czy nie wiesz, co z ojcem i bratem moim się stało? — spytała Lila — Ludmir było ojcu na imię, bratu Krak, ojciec był władcy nad Łabą, obaj poszli nad Rakę, czy prawda, że tam wszyscy padli.

— Kilku ocalało, między innymi niejaki Jaczo, który dostał się do hufców knezia Polan, mówiłem z nim przed bitwą. Ten pełen dobrej otuchy, wierzy w sprawiedliwość bogów, mówi, że gdy zdrajca Tugomir już poległ, to bogowie zwrócą teraz swe łaski na nas i dadzą nam zwycięstwo; wierzy, że wróci do swego sioła, gdzie brat mu w spadku przekazał ziemię i dziewczynę Mile.

— Oby wiara go nie zawiodła — szepnęła Lila.

— Nie zawiedzie go — odezwał się Lechon —

chmury, które nasze niebo zasepiły już pierzchają; wy tego nie widzicie, ale ja oczyma duszy widzę... Widzę jak słońce się przedziera, jak się rozwidnia i będzie wkrótce jasno wśród nas wszystkich, nad pognęzionymi bóg, pan wszechrzeczy się ulitował... Już świta i podniesie się państwo wielkie na ziemi Słowian i chronić się będą pod jego skrzydła słabe drobne plemiona, a on otoczy je opieką, i wróg nasz odwieczny zadrży przed tym naszym opiekunem i pokój zakwitnie dla nas.

— Słowa twoje bracie lepiej nas pokrzepiły, niż mięso i chleb, które z tych kosztów braliśmy — odparli jeńce — bądź błogosławiony za to, niechaj błogosławioną będzie ta, która cię do nas przysłała.

Wróciwszy do Hajuty Lila powtórzyła jej słowa więźni, pokrzepiły one księżnę, podniosła się spokojna i uklękła przed ukrzyżowanym, teraz modlić się mogła... Burza poszła tymczasem dalej, słońce blaskiem zamek oblało.

— Czy nie chcesz mieć więcej wieści o stocznej walce? — spytała Hermina siostry, gdy ta powstała od modlitwy — może przywołać rycerza?

— Myśleć o niej nie chcę, wiem, że Zygfyrd żyje, to mi wystarcza — odparła Hajuta — oby powrócił jak najprędzej, oby ta nieszczęsna wojna, która me sumienie niepokoi skończyła się jak najrychlej.

To rzekłszy siadła do krosen i robotą się zajęła; Lechon i Lila pocichu szeptali o jeńcach.

Wieczór zaczął zapadać, gdy na dziedzińcu znowu kopyta zatętniały.

Hajuta wróciła właśnie z ogrodu do krosen i pilnie znowu pracowała, zatopiona w myślach nie posłyszała hałasu, nie uszedł on wszakże uwagi Lili i Herminy; zaniepokoiły się obie, gdyż zdało się im, że jednocześnie jakiś niezwykle ruch powstał w zamku. Hermina chciała już wstać, by się dowiedzieć, co znaczy, gdy próg komnaty przestąpił jeden z dworzan.

— Goniec przybiegł z wieścią, iż wojsko wraca — rzekł, składając głęboki ukłon.

— A księżę? — spytała Hojuta.

— Wiozą go — odparł posepnie.

Radość zagłuszyła przenikliwość w sercu księżnej, nie spostrzegła smutnej twarzy dworzanina, nie uderzyły jej boleśnie słowa: „wiozą go“.

— Hermino! — zawołała — przywdziejmy stroje świąteczne.

I wybiegła z komnaty, siostra wolniej za nią podążyła. Lila i Lechon pozostali na miejscu.

Rżenia rumaków, chrzęst zbroi, oznajmiły im niebawem, że wracają mordercy ich braci. Lila przycisnęła dłonią bijące gwałtownie serce.

— I mnie stąd uciec nie wolno, będę zmuszoną patrzeć na rozradowane ich twarze, o kiedyż godzina sprawiedliwości wybije dla nas — szepnęła.

— Już wybiła — odparł ponuro Lechon — czy nie słyszysz: wracają bez pieśni tryumfalnej,

bez okrzyków radości, żałobna cisza wieje z dziedzińca do tych okien.

— Prawda, co to ma znaczyć? — rzekła Lila.

— Cyt! już idą tutaj, miecze ich biją o kamienną posadzkę zamku, a kamienie jęczą — rzekł Lechon.

— Boję się czegoś — szepnęła Lila.

W tej chwili ukazała się Hajuta w białej szacie złotymi gwiazdami zasianej, w złotym płaszczu, który tworzyły jej włosy rozplecione, rubinowa przepaska ujmowała je nad czołem. Strojna w szatę, jutrzeńkę kolorem przypominającą, dążyła za nią Hermina, obie pośpieszyły do sali godowej. Lechon i Lila posunęli się za nimi. Rycerze już weszli do sąsiedniej komnaty, Hajuta wzruszona radośnie zatrzymała się na progu i czeka na nich, rumieniec radości oblał jej twarz bladą; już są, już na środku sali stanęli, jej serce bije coraz mocniej, szuka wzrokiem Zygfyryda, dopatrzeć go nie może... Wtem trzech poważnych wiekiem panów wolnym krokiem zbliżyć się ku niej poczęło, na ich twarzach smutek głęboki, za nimi giermkowie niosą jakiś ciężar płaszczem przykryty. Hajuta doznaje trwogi, nie ma odwagi zapytać co to? Stoi nieruchoma i patrzy, oni ciężar postawili, odrzucili płaszcz.

— Trumna! — krzyknęła a potem z jękiem dodała — Zygfyryd!

I biegnie do męża, pada przed nim na kolana.

— Tyś zemdłał tylko — mówi — tyś ranny.

I chwyta jego rękę, chce ją do ust ponieść, ale ta ręka lodowata, ciężka, sztywna, jak gdyby z marmuru ukuta, przestrasza ją; krzyk straszny wydiera się z jej ust, pada zemdłona...

Przybiegły do niej Hermina i Lila, przybiegły inne niewiasty z dworu, budzą ją różnymi środkami do życia, otworzyła wreszcie oczy, teraz jest spokojna, lecz twarz jej przybrała barwę marmuru.

Wróciła do trumny i znowu przy mężu ukłękła, podniosła wzrok ku niebu, na którem noc zapalała gwiazdy, a które widać z otwartych okien zamku.

— O Panie! czemu Twa prawica dosięga tak często niewinnych za winnych? — spytała pełnym żalu głosem — za co ja mam tak srogo cierpieć, gdy inni przestąpili Twe przykazanie?

To rzekłszy głowę na piersi męża oparła.

— Zygfyrdzie, szczęśliwe dni nasze już nie wrócą — szepnęła złamanym głosem.

Umilkła i oczy zamknęła, ale od mar nie odstąpiła, czy znowu omdlała?..

Coraz tłoczniej w sali, lecz nikt do nieszczęśliwej ze słowem pociechy zbliżyć się nie ośmiela: rycerze, dworzanie, giermkowie patrzą z litością na młodą swoją panią, po niejednej twarzy ciche łzy płyną.

Lila stoi najbliżej, żałuje teraz słów jakie wyrzekła: „kiedyż godzina sprawiedliwości dla nas wybije“. Nikt słowa nie mówi, nikt z miejsca się nie

rusza, rzekłbyś śmierć na wszystkich swe technienie powiała...

Ponurą tę ciszę skłócił dopiero nowy hałas, lejący z dziedzińca, ktoś jeszcze przybył, Hajuta nie pyta kto, klęczy ciągle nieruchoma, obojętni jej wszyscy i wszystko... W przyległej komnacie rozległy się kroki, ktoś idzie, księżna nie podniosła głowy, szept głuchy obiegnął salę.

— Margrabia...

Nie otworzyła nawet oczu; od niej nikt więcej cierpieć nie może, nie ma dla nikogo współczucia...

Dwóch mężów weszło do sali, obaj płaszczami otuleni, jeden to koniuszy margrabi, drugi on sam; twarz jego bólem wykrzywiona, oczy świecą pełnym rozpaczy blaskiem, zbliżył się chwiejącym krokiem do synowej.

— Hajuto przebacz, jam zabójcą twego męża — rzekł głosem, który przejął dreszczem wszystkich. — Chrystus kazał miłością rozszerzać Jego naukę na ziemi, jam mieczem i ogniem ją szerzył, Bóg kazał miłować bliźniego, jak siebie samego, jam się tej miłości zaparł, jam mordował bliźnich i Pan zabił mi syna, abym sam odczuł ból, jaki tysiącom matek i ojców zadałem... Hajuto przebacz mi... Oto rozdieram u stóp tych mar mi drogich, książęce moje szaty i przysięgam, że wszystkie skarby moje oddam, by łzy sierót osuszyły; oto łamię miecz mój rycerski, by więcej krwi niewinnej nie przelewać...

To mówiąc odpassał miecz, złamał go i rzucił na kamienną posadzkę, głuchy dźwięk się rozległ w sali, Hajuta drgnęła, podniosła głowę i wzrok przestraszony utkwiała w ojca, on rozdarł na piersiach bogatą książeczą swą suknię, potem ukląkł u nóg syna, pochylił głowę na piersi.

— Zgrzeszyłem ciężko i ukarał mnie Pan ciężko — rzekł — oto na starość sierotą zostaje i nie mam jednego serca przychylnego mi i samotny zostanę, jako samotnych wielu uczyniłem i ród mój latorośli nie ma i pójdzie ze mną do grobu, zginie z tej ziemi, jako zginęło wielu przezemnie... I ulżycym udręczeniom nawet nie mogę słowami „Wola Twoja Panie“ bo cierpię nie z woli Boga, ale z własnej winy...

Jęk głuchy wydarł się z jego ust.

— O nieszczęsny nad nieszczęsnymi — dodał i czołem o kamienne posadzki uderzył.

Hajuta powstała zwolna, zbliżyła się do niego i przyklękła przy nim.

— Ojcie — szepnęła — dla tych co żałują za swe przewinienia jest pokuta, jest win odpuszczenie; ja cię poprowadzę do Ojca świętego, on cię rozgrzeszy.

I białe swoje ramię wsunęła pod jego rękę.

— Oprzyj się na mnie — dodała głosem łagodnym, pełnym słodyczy.

On dźwignął się zwolna i opuścili razem pełną rycerstwa salę, a gdy koło Lili przechodzili, dziew-

czę przyklekło, ujęło kraj szaty Hajuty i do ust ją poniosło, poczem zwróciła się do Herminy ze słowami:

— Dobroć jej pokonała niepewność mego serca; nauka która daje taką siłę, jaką dała w tej chwili Hajucie wzniosłą być musi; umieć przebaczyć tak ciężką krzywdę, móżdż ze słowem pociechy popieszyć do tego, który nam szczęście zburzył, na to więcej niż mężną być trzeba. Taką siłę dać może tylko Jezus, przyjmę waszą wiarę.

Nazajutrz w zamku margrabi odbył się pogrzeb jego jedyne go syna Zygfyryda, za trumną szedł Gero w szacie pielgrzyma i Hajuta w zakonnej sukni. Księżna wspierała zgnębionego starca troskliwie, Lechon i Lila z uwielbieniem na nią patrzali.



EPILOG.

Lat kilka upłynęło od powyżej opisanych wypadków, ucichła długa wojna, mordy i pożogi wśród Słowian szerząca, na spustoszonych mieczem i ogniem obszarach ziemi nowe chaty wyrosły. Nowi ludzie je zamieszkali i ziemię zasiali, żyto szumi znowu, tatarka miodowym zapachem wabi do siebie pszczoły, wszystko niby podawnemu; brzmią pieśni po siołach, świegoce ptastwo, rolnicy wychodzą z pługami na pole, dziewczęta wiją z kwiatów wieńce, wszystko po staremu.

Do lasu rosnącego przy gościńcu nad Łabą weszło dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta, on z lirą w rękę, w siwej siermiedze, dziewczę w szacie śnieżnej z wiankiem lilii na głowie. Strudzeni drogą siedli pod dębem, chwilę spoczywali, poczem on począł grać na lirze, ona podniosła się i oderwawszy kawał kory, z brzozy opodal rosnącej, torebkę z niej zrobiła i zaczęła zbierać jagody leśne. Gdy

torebka pełną była, wróciła do towarzysza i oboje poczęli się posilać. Wtem z gąszczy naprzeciw nich wysunął się starzec siwobrody, w pielgrzymu ubraniu, z kosturem w ręku, szedł zwolna i pacierze szeptał, lecz młodych spostrzegłszy zbliżył się do nich.

— Może i mnie pozwolicie się pożywić — rzekł łagodnie — staremu trudno się schylać po jagody.

Dziewczę podało mu kobiałkę, spojrzenia ich spotkały się, na obu twarzach odmalowało się zdziwienie.

— Jam cię już kiedyś spotkał w życiu — rzekł stary — moja pamięć słaba, spróbuj ty przypomnąć sobie.

Dziewczyna zadumała się chwilę, poczem blask radości rozwidniał jej oczy.

— Pamiętacie dziewczę, które wam powiedziało, że idzie złożyć swe serce na ołtarzu Światowida? — zapytała.

— Tyżeś to — odparł również ucieszony pielgrzym — tobie pokazałem oblicze Jezusa i życzyłem by On czuwał nad tobą?

— Mnie — odparła Lila — jestem córką Ludmira władcy z Pszczolanki, który oby żył — dodała ze smutkiem. To mój brat Lechon, pieśniarz wsi; byliśmy długie lata w niewoli w zamku margrabi Gero, synowa jego Hajuta nauczyła nas kochać Jezusa, oboje przyjęliśmy chrzest św.

— Bogu niechaj będą dzięki — odparł wzru-

szony starzec — dziwnemi drogi prowadzisz nas często zaiste Panie do siebie.

To rzekłszy usiadł obok młodych i razem jedli jagody.

— Czy prawdą jest, że margrabia po śmierci syna wstąpił do klasztoru? — zapytał po chwili pielgrzym.

— Poszedł najprzód z synową do Rzymu, oboje towarzyszyliśmy im w tej pobożnej wędrówce — odezwał się Lechon. Tam Ojciec święty margrabię z popełnionych zbrodni rozgrzeszył, dał mu rękę świętego Cyryaka na znak przebaczenia, a nas papież chrztem świętym obmył z dawnych przewinień, potem poszliśmy razem do Saksonii, gdzie na wyniosłej górze Kwedlinburga margrabia klasztor żeński zbudował, w nim Hajuta ksienią została, a margrabia jedną celę zajął, teraz modli się i pełni uczynki pobożne.

— A wy ojcze dokąd dążycie i skąd? — zapytała Lila.

— Wracam od knezia Polan i Łęczycan, idę do swej ziemi rodzinnej do Czech w poselstwie — odparł starzec. — Kneź Mieszko chce nazawsze stępić groty margrabiów niemieckich, którzy po ostatniej klęsce, jaką zadał Geronowi, przycichli wprawdzie, lecz lada dzień w imieniu swej wiary mogą znowu podnieść przeciw Słowianom ostre swoje miecze; Mieszko chce zatknąć krzyż na gra-

nicy swego państwa, aby go strzegł ramionami swemi i ludu jego.

— Więc wiarę chrześcijańską przyjąć zamierza! — wykrzyknęli radośnie Lechon i Lila.

— Idę w poselstwie do króla Bolesława zbadać go, czy siostrę swą Dąbrówkę zechce oddać kneziowi Polan i Łęczycan; jeśli ją da, Mieszko stary chram obali, a zbuduje na jego miejsce świątynię chrześcijańską, lud swój ochrzczi i sam wiarę naszą przyjmie.

— Mroki nocy pierzchają z ziemi Słowian, jutrzienka błysnie wszystkim niebawem — rzekł Lechon — chodźmy Lilo do swoich, tam jeszcze ciemno.

— Spieszcie, wracam właśnie stamtąd — odparł pielgrzym — stary władyka dogorywa; wychodował młodą latorośl, którą podczas napadu skryła do lasu stara znachorka, dał mu imię „Mściciela“ i zemstą karmi młode jego serce.

— Ja mu dam imię „Bogumiła“ słodką miłością Jezusa nakarmię jego serce i nauczę przebaczać największym nieprzyjaciołom — rzekła Lila. — Spieszmy Lechonie — dodała — a ty starcze módl się za nami.

To rzekłszy uknęła u nóg pielgrzyma, Lechon to samo uczynił, on pobłogosławił oboje, poczem rozeszli się w przeciwne strony, lecz ku jednemu celowi podążyli, by świt nad ziemią Słowian przyspieszyć.

DOM
KSIAZKI
DOM

Nr 943914 F

Wydawnictwa księgarni K
dla dzieci i m

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

141730

- Cerwantes M. Don Kiszot z la Man
G. Dorego
Kartonowane
- Lenartowicz Teofil. Wybór poezyj,
trem autora
W ozdobnej oprawie
- Mickiewicz Adam. Złote myśli. Kart.
Pol Wincenty. Wybór poezyj, wyd
trem autora
W pięknej oprawie 1 50
- Przyborowski Walery. Na Oceanie Spokojnym, powieść
dla młodzieży z 9ma ilustr., kartonowane 1 20
W oprawie ozdobnej 1 70
- Teresa Jadwiga. Nowe Opowiadania ciotki Ludmiły o da-
wnych czasach i ludziach z 10-ma ilustracyami
kartonowane 1 20
W oprawie 1 70
- Przed świtem, powieść hist. z 6ma ilustr., kart. 1 —
W ozdobnej oprawie 1 50
- Wielki Król, pow. hist. z czasów Bolesława Chro-
brego, z 6ma rysunkami, kartonowane 1 —
W ozdobnej oprawie 1 50
- Umiński Władysław. Od Warszawy do Ojcowa. Przygody
w podróży po kraju, z 29ma ilustr., karton. 1 50
W ozdobnej oprawie 2 —
- W nieznanym świecie, powieść fant. dla młodzieży
z 8ma rysunkami, kartonowane 1 —
W ozdobnej oprawie 1 50
- Weryho Marya. Opowiadania prawdziwe. 16 powiastek dla
dzieci od lat 6 do 10, z 20ma ilustr., karton. 90
- W zaklętym królestwie. Opowiadania z dziejów
przyrody, z licznymi ilustracyami, kartonowane 1 50

Biblioteka WSP Kielce



0137526